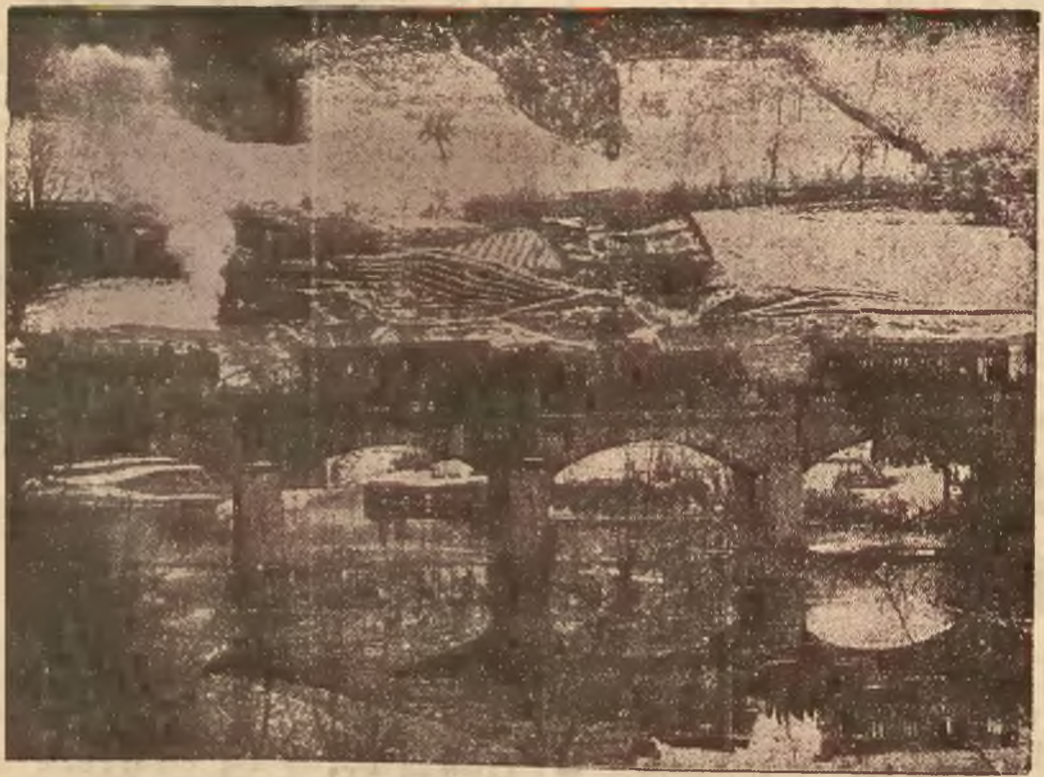
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

OSTATNIE WIADOMOSCI KRAKOWSKIE

zł. 1·95

10 gr.

Rok V. Kraków, poniedziałek 30 grudnia 1935 Nr. 361



Uroczysty dzień wigilijny w Niemczech zakłóciła wiadomość o strasznej katastrofie kolejowej, która miała miejsce w Turyngji. Na moście na rzece Saale pociąg pośpieszny najechał na pociąg osobowy. W następstwie katastrofy 20 osób poniosło śmierć, a ponad 50 odniosło bardzo ciężkie rany. Na zdjęciu tragiczny most.

Czarni zdobyli Addi-Abbi

ADDIS ABEBA, (PAT). Abisyński komunikat oficjalny donosi, że wojska abisyńskie zdobyły stolicę rejonu Tembien — Addi-Abbi podczas nagłego ataku, który zaskoczył włoskie oddziały tubylcze. Wedle komunikatu Abisyńczycy zadali przeciwnikowi ciężkie straty.

Przeraźliwe samobójstwo generała

NANKIN (PAT) — Stary rewolucjonista, gen. Hsu - Fan - Ting, szef sztabu pierwszej armji, dokonał wczoraj wieczorem samobójstwa, rzucając się na swój miecz przed mauzoleum Sun - Jat - Sena.

W pozostawionym testamencie generał oświadcza, że czyni ofiarę z krwi swego serca cieniom Sun - Jat - Sena, aby obecnych kierowników polityki chińskiej powstrzymać od zdrady.

Ofiara jego ma zbudzić w nich ducha oporu przeciwko polityce japońskiej.

210 ofiar śnieżyc i mrozów

NOWY JORK (PAT) — Mrozy i nawałnice śnieżne, srożące się głównie w środkowo-zachodnich, a częściowo i w południowych stanach, pochłonęły dotychczas 210 ofiar ludzkich. Liczne miejscowości są przez wielkie opady śnieżne odcięte od świata.

Tragiczna demonstracja studencka

SZANGHAJ (PAT) — Studenci, którzy pragnęli udać się do Nankinu, celem demonstrowania przeciwko autonomji prowincyj Hopei i Czahar, zostali siłą sprowadzeni zpowrotem do Szanghaju na autokarach. Oporni wyskakiwali w pełnym biegu z autokarów. 30 studentów odniosło rany, z czego 4 ciężkie.

Czy ugoda paryska obali Lavala?

Dzisiejsze głosowanie w parlamencie da odpowiedź

PARYŻ (PAT) — W mowie, wygłoszonej wczoraj w Izbie Deputowanych, premjer Laval oświadczył, że debata nad polityką zagraniczną odbywa się naskutek jego prośby w związku z ostatniemi doniosłemi wydarzeniami, a zwłaszcza z dymisją sir Samuela Hoare'a.

Laval wyraził żal, że dotychczasowe jego wysiłki nie doznały powodzenia, przyczem, czyniąc aluzję do mowy Mussoliniego w Pontynji, oświadczył:

„Dodaję, że niektóre przemówienia nie ułatwiły naszego zadania"

Premjer Laval, uzasadniając swą politykę w związku z projektem paryskim, oświadczył, że chodziło mu przedewszystkiem o spowodowanie odprężenia między W. Brytanją i Włochami. Zwłaszcza w wypadku zastosowania sankcyj naftowych, sytuacja stawała się bardzo groźna, ponieważ należało się liczyć ze zdecydowanym oporem Włoch, które by uważały zakaz wywozu nafty, jako sankcję wojskową i akt, oznaczający wojnę z Włochami. Propozycje paryskie umarły, lecz droga do wysiłków pojednawczych pozostaje otwarta.

„Nie myślę czynić żadnego zarzutu Anglji, że odrzuciła plan paryski. Nie żałuję podjętej inicjatywy, ponieważ miała ona na celu likwidację zatargu. Wola moja nie została osłabiona dlatego, że nie doszły one do skutku. Będą musiały być poczynione inne próby, które również mogą się nie udać. Będę prowadził dalej wszelkie możliwe wysiłki na rzecz pokoju" — zakończył swe przemówienie premjer Laval.

Po przemówieniu premjera Lavala, zabrał głos socjalista Blum, ostro atakując premjera Lavala oraz obecny ustrój we Włoszech. W czasie przemówienia Bluma powstała wrzawa, ponieważ mówcy przerywano. Przewodniczący Bonisson z trudem przywrócił porządek.

Zdaniem Bluma, wojna byłaby niemożliwa, gdyby wszystkie państwa były zdecydowane wykonać swe zobowiązania wobec Ligi Narodów.

Mówca oskarżył rząd, że podał w wątpliwość wierność Francji wobec paktu Ligi. W zakończeniu mówca wskazał na niebezpieczeństwo zbrojeń niemieckich i wzywał do zjednoczenia przeciwko niemu wszystkich sił.

Następni mówcy również ostro atakowali rząd, zaś na skrajnej lewicy rozlegały się pod adresem rządu okrzyki: „Do dymisji!". Obrady przerwano do dnia dzisiejszego. Dziś więc odbędzie się głosowanie i zdecydują się losy rządu Lavala.

Pożyczali mu miljony na słowo

CHICAGO (PAT) — Podczas procesu banku Rapid Transit Company, którego prezydentem był swojego czasu Samuel Insull, wyszły najaw zupełnie niezwykłe w świecie finansowym stosunki, wykazujące dobitnie, jakiem olbrzymiem zaufaniem i jakiemi niesłychanemi wpływami cieszył się ów były miljoner.

Wiceprezydent banku zeznał pod przysięgą, że banki chicagowskie pożyczały Insullowi ogromne sumy, dochodzące czasem do 2 miljonów dolarów, na słowo — bez żadnego weksla lub pisanego zobowiązania.

Bankier ów oświadczył, że nie było w tem nic dziwnego, gdyż wszyscy znali olbrzymie środki, któremi rozporządzał Insull, oraz jego nieposzlakowaną uczciwość.

Strumień lawy może zniszczyć miasto

Bomby lotnicze w akcji ratunkowej

HILO (wyspy Hawajskie) (PAT) — Panuje tu wielkie podniecenie, gdyż olbrzymi strumień lawy, spływający z wulkanu Maunaloa, w ciągu ubiegłej nocy zbliżył się znacznie do miasta i w obecnej chwili znajduje się o niecałe 4 mile od miejskich rezerwuarów wodnych.

Dwunastu pilotów wojskowych otrzymało polecenie dokonania próby odwrócenia strumienia lawy w inną stronę przez rzucanie bomb. Jeśliby ta próba zawiodła, inżynierowie wojskowi starać się będą o skierowanie strumieni lawy do Oceanu, wysadzając przy pomocy dynamitu niektóre tereny na drodze płynącej lawy.

HONOLULU (PAT) — Według doniesień z Hilo, jeden z samolotów, które podjęły próbę wstrzymania strumienia lawy, płynącego z wulkanu Maunaloa, zrzucił 10 bomb tuż przed posuwającym się strumieniem lawy. Szerokość strumienia lawy wynosi około 70 mtr. Inne samoloty bombardowały krater wulkanu. Liczą się z możliwością zatkania krateru przez wybuchy bomb. Byłby to pierwszy wypadek przerwania ręką ludzką wybuchu wulkanu.

AVILA (PAT) — W czasie ostatnich powodzi w prowincji Avila wpobliżu Guisando zatonęły 4 osoby, jadące samochodem.

W San Esteban del Valle dwa młyny zostały zniesione przez wodę, a około 40 domów jest poważnie uszkodzonych. W Candeal woda zniosła również dwa młyny. Na obszarze całej prowincji wiele drzew zostało wyrwanych z korzeniami. Powódź wyrządziła rolnikom wielkie szkody,

Krwawa noc świąteczna w Pabjanicach

W poszukiwaniu bandytów, aresztowano 20 osób

Święta ubiegłe pozostawiły poważne znaki w kronice kryminalnej. Donoszą teraz z Pabjanic o ohydnej zbrodni, dokonanej w drugim dniu Świąt.

Do mieszkania właściciela składu win i wódek, Ratajczyka, zamieszkałego przy ul. Dolnej 14, wtargnęli nocą trzej zamaskowani bandyci. Podejrzane szmery usłyszał pierwszy 23-let. syn, Wiktor Ratajczyk, wstał więc z łóżka i udał się do sąsiedniego pokoju, gdzie już gospodarowali bandyci, ale wchodzącego odrazu zasypali kulami.

Tymczasem zbudzili się ze snu pozostali domownicy — młodsi bracia Wiktora — 21-letni umysłowo chory Mieczysław oraz 14-letni Hieronim. Rodzice wraz z córką i jeszcze jednym synem byli w mieszkaniu nieobecni, gdyż udali się na ślub do znajomych. Załatwiwszy się z Wiktorem, bandyci steroryzowali Mieczysława i Hieronima Ratajczyków i splondrowali całe mieszkanie. Łupem bandytów padło ok. 5.000 zł.

Aby dostać się do mieszkania, bandyci otruli oba psy, które strzegły domu Ratajczyków. Potworna zbrodnia została odkryta dopiero następnego dnia rano, kiedy rodzice wrócili z wesela. Na miejsce wypadku przybyły władze policyjne i śledcze. Wszczęto natychmiast dochodzenie, celem wykrycia sprawców zbrodni i rabunku. Dotychczas aresztowano już około 20 osób ze świata przestępczego.

Straszne trupy za stołem

Zastrzelił i do trupów strzelał

We wsi Racławice pod Kolem zamordowano w ohydny sposób młodą parę małżeńską. Zbrodni dokonał przyjaciel zamordowanego Woźniaka, niejaki Kazimierz Szmaj.

Zbrodnię odkryto przypadkowo. Podczas świąt Bożego Narodzenia przybyła w odwiedziny do Woźniaków matka Woźniakowej. Przez dłuższy czas dobijała się do drzwi mieszkania, ale nikt nie otwierał. Poszła więc po pomoc. Wyważono drzwi. Oczom przybyłych przedstawił się okropny widok: na łóżku leżała bez znaku życia Woźniakowa, zaś przy stole, w pozycji siedzącej, zwłoki Woźniaka.

Jak wykazało dochodzenie, Szmaj przybył do Woźniaków w czasie kolacji i celnemi strzałami zabił oboje. Dla upewnienia się, czy ofiary nie żyją, morderca przyłożył jeszcze raz rewolwer do skroni za mordowanych i powtórzył strzały.

Na politycznym widnokręgu tygodnia

Znów ciężkie chmury wiszą nad światem

Na widnokręgu politycznym ciężkie, ołowiane chmury. Sto imy przed samemi niewiadomemi. Faktem jest, że ogólna sytuacja polityczna nie zazna ła w ostatnim tygodniu żadne go odciążenia. Znajdujemy się w okresie gorączkowego poszukiwania za jakiemś rozwią zaniem. Z upadkiem jednak min. Hoare, mężowie stanu i dyplomaci muszą wziąć pod uwagę nowy czynnik, dotychczas przez nich niemal całkowicie bagatelizowany, a mianowicie: opinję publiczną.

KARJERA EDENA

Najważniejszem wydarzeniem jest oczywiście objęcie steru polityki zagranicznej Anglji przez min. Edena. Młody następca Hoare'go, ma ustalone nazwisko na terenie międzynarodowym, gdzie od kilku lat pracuje w charakterze delegata angielskiego przy Lidze Narodów, później lorda strażnika tajnej pieczęci, wreszcie ministra dla spraw Ligi Narodów.

Mianowanie właśnie Edena ministrem Spraw Zagranicznych, było uważane jako ustępstwo na rzecz opinji publicznej, jako koncesja na rzecz opozycji. — Eden był tym człowiekiem, który na terenie Ligi Narodów przeprowadził wszystkie antywłoskie uchwały i jest zwolennikiem szerokiego stosowania sankcyj. W tych warunkach objęcie steru polityki zagranicznej przez Edena posiada specjalny posmak. Oznacza to bowiem, że Anglja nietylko pogrzebała plan swojego poprzedniego ministra Spraw Zagranicznych, o czem wszyscy już wiedzą, ale, że jest zdecydowana odrobić straty, które wskutek planu poniosła oraz, że zamierza twardo kroczyć po drodze przedtem przez Edena w Genewie nakreślonej.

NAFTA MOŻE PUŚCIĆ KREW

Dalsze sankcje przeciw Włochom muszą z konieczności objemować te surowce, które są niezbędne do prowadzenia wojny i których brak musi spowodować załamanie się operacyj wojennych. W pierwszym rzędzie wchodzą tutaj w rachubę: żelazo, stal, cyna i nafta. Przypominamy, że Włochy oświadczyły, że zakaz sprzedaży nafty będzie dla nich oznaczał wypowiedzenie wojny. Właśnie, celem uniknięcia wojny angielsko - włoskiej, która musiałaby się znacznie rozszerzyć, powstał plan Hoare — Laval.

Trudno podejrzewać w tej chwili kogokolwiek o chęć wywołania wojny europejskiej, ale chyba najmniej wojowniczo usposobiona jest Anglja. Skoro Hoare widział w pewnej chwili, że pomoc państw śródziemnomorskich, a w pierwszym rzędzie Francji, jest wątpliwa, przyjął podsunięty mu przez Lavala plan zakończenia wojny włosko - abisyńskiej. Dalsze losy tego planu są wiadome. Jest natomiast niesłychanie ciekawe, że zarówno Hoare w swojej obrończej mowie, już jako zdymisjonowany minister, jak również Laval w piątek przed Izbą Deputowanych, bronili swojego planu, który miał na celu niedopuszczenie do wojny włosko - angielskiej, do przeniesienia konfliktu afrykańskiego na teren europejski.

SANKCJE OKAZAŁY SIĘ STRASZAKIEM

Wynikałoby z tych zapewnień, że Włochy są dostatecznie silne, by przetrzymać sankcje, względnie, że sankcje nie są pewną bronią. Wydaje się, że to ostatnie jest słuszniejsze. Liga Narodów jest ciałem zbiorowem i po raz pierwszy od czasów swojego istnienia zastosowała wobec swojego członka sankcje. Wiemy doskonale, że szereg państw bierze udział w sankcjach jedynie, jako członkowie Ligi Narodów, nie będąc bynajmniej przeciwnikami Włoch, a nawet wyprawy abisyńskiej. W takich warunkach istnieje uzasadniona obawa, że w pewnej chwili niektóre państwa albo odmówią udziału w dalszych sankcjach, szczególnie, jeśli te dotkliwie uderzą w ich interesy gospodarcze, albo też będą usiłowały je omijać. Taka taktyka może spowodować całkowite załamanie się mechanizmu sankcyj.

Jest wysoce znamiennem, że pierwszym krokiem rządu brytyjskiego po nominacji Edena, było zwrócenie się do państw śródziemnomorskich z zapytaniem, czy gotowe są udzielić flocie brytyjskiej pomocy na wypadek konfliktu z Włochami? Dla ścisłości zaznaczymy, że tego rodzaju pytanie skierował jeszcze poprzedni minister Spraw Zagr. Hoare, do odnośnych rządów i do Francji, ale odpowiedzi jakoś nie nadchodziły. Oczywiście dlatego, że państwa zainteresowane — jak się okazało — nie bez słuszności obawiały się, że Anglja w pewnej chwili wycofa się z całej imprezy, a one pozostaną z nowym wrogiem: Włochami. Po nominacji Edena natychmiast nadeszły odpowiedzi wszystkich państw i to pozytywne.

Zmienia to naturalnie całkowicie układ rzeczy. Jakkolwiek bowiem Włochy są zdecydowane na wszystko, to jednakże wątpliwe jest, czy w takich beznadziejnych warunkach pójdą na wojnę z Anglją. Z temi atutami Eden zamierza zmusić Włochy do cofnięcia się z zajętego stanowiska, aby doprowadzić do zakończenia wyprawy abisyńskiej. Rozpoczyna się tedy gra misterna.

W zagranicznych kołach politycznych zwracają dalej uwagę, że min. Eden jest zwolennikiem współpracy z Rosją Sowiecką i w związku z tem zapewne powstały już nawet pogłoski o możliwości układu sowiecko - angielskiego. Faktem jest, że Eden po powrocie z Moskwy, gdzie bawił w kwietniu, jako pierwszy minister angielski w Sowietach, wyraził się z dużem uznaniem o polityce sowieckiej i oświadczył, że oba państwa nie posiadają sprzecznych interesów. W obecnej chwili słowa te mogą nabrać specjalnej wagi, szczególnie właśnie, jeśli chodzi o zagadnienia Dalekiego Wschodu. Ekspansja japońska bowiem zagraża zarówno Anglji, jak Sowietom.

Napoleon Sądek

Nasz żebrak

Pan Cukierman zbankrutował. Stracił wszystko, został bez grosza w kieszeni.

Kiedy powiedział żonie, że nie ma już ani grosza, nie chciała wierzyć.

— Ani grosza? Niemożliwe!

— Niestety... Jesteśmy w nędzy.

— Ale 20 groszy chyba masz jeszcze?

Pan Cukierman spojrzał zdziwiony na żonę.

— 20 groszy? Poco ci akurat 20 groszy?

— Bo dziś jest wtorek. Punktualnie o 11-ej przyjdzie nasz żebrak. Wiesz, ten, co od kilku lat co wtorek i co piątek dosta je 20 groszy.

Pan Cukierman wzruszył ramionami.

— Już nie masz większego zmartwienia?

— Chyba, że mi będzie przykro mu nie dać. Gospodarz jest bogaty, to może poczekać z komornem. Krawcowej, modystce i u rzeźnika też mogę powiedzieć, że nie mam pieniędzy... Ale co powiedzieć takiemu żebrakowi?

— Powiedz mu co chcesz! Co mnie to teraz obchodzi? Ja jestem winien prawie wszystkim w Warszawie...

Pani Cukierman z wyrzutem spojrzała na męża.

— I takiemu żebrakowi też chcesz zostać winien? 20 groszy?! Jak ci nie wstyd?

— Daj mi spokój!

Pani Cukiermanowa gniewnie zerwała się z krzesła.

— Ty tylko umiesz mówić: „Daj mi spokój!", Ale, żeby coś poradzić, to nie potrafisz! Co ja mam powiedzieć temu biedakowi? Za pięć minut jedenasta! On się nigdy nie spóźnia! Za chwilę będzie dzwonił. Trzeba coś postanowić!

Pan Cukierman nerwowo zaczął chodzić po pokoju.

— Mam myśl — oświadczył wreszcie. — Jak żebrak zadzwoni, będziemy siedzieć cicho i nie otworzymy drzwi. On pomyśli, że nas niema w domu i sobie pójdzie.

— Ale jutro znów przyjdzie — westchnęła pani Cukierman. — On nie daruje.

— To jutro też mu się nie otworzy — zadecydował pan Cukierman.

* * *

Punktualnie o 11-ej rozległ się przy drzwiach dzwonek.

— Jest... — szepnęła pani Cukierman.

— Tsss... Cicho... — syknął małżonek. — Nie ruszaj się.

Małżonkowie wstrzymali od dech. Za drzwiami słychać było uporczywy kaszel żebraka. A po chwili znów dzwonek.

Następny dzwonek był już dłuższy i mocniejszy.

— Słyszysz, jak on dzwoni? — szepnął Cukierman. — Bezczelny żebrak!

— Co chcesz od niego? — odpowiedziała szeptem małżonka. — On musi żyć. Chce tylko swoje 20 groszy...

Po paru minutach dzwonienie ustało. Żebrak widocznie doszedł do wniosku, że nikogo niema w domu i ciężkim krokiem zaczął schodzić po schodach.

— Widzisz — odetchnęła z ulgą pani Cukierman — nasz żebrak to jest bardzo przyzwoity człowiek, Widział, że nikogo niema w domu i sobie poszedł.

* * *

Nazajutrz punktualnie o 11-ej u drzwi wejściowych znów się rozległ dzwonek, a za drzwiami dał się słyszeć znajomy kaszel żebraka.

— Twój żebrak znów dzwoni — syknął gniewnie pan Cukierman.

— Nie mój żebrak, tylko nasz żebrak — sprostowała małżonka. — Co mu się dziwisz? Wczoraj nie dostał, więc przyszedł dziś.

— Tss.. Nie gadajmy!... On jeszcze usłyszy.

A dzwonki tymczasem stawały się coraz dłuższe i coraz mocniejsze. Pana Cukiermana rozbolała głowa. Zatkał sobie uszy palcami.

Dopiero po kwadransie dzwonić przestało.

Ale nazajutrz o 11-ej rozleg ło się znowu.

— Znów jest cholera! — zawył cichutko pan Cukierman. — Bezczelny cham! Jak nawet będę miał, to też mu nigdy grosza nie dam.

— Tsss... — syknęła żona. — Cicho...

Tego dnia żebrak dzwonił całą godzinę. Gdy wreszcie poszedł, spocony pan Cukierman złapał nożyce i z wściekłością przeciął druty dzwonków.

— Niech teraz dzwoni łobuz! — zaśmiał się szatańsko. — Niech dzwoni!...

* * *

Czwartego dnia punktualnie o 11-ej żebrak zjawił się znowu. Nacisnął dzwonek, dzwonek nie odpowiadał.

Zapukał do drzwi — milczenie. Zaczął walić pięścią — z poza drzwi nie dawano znaku życia.

A tymczasem pan Cukierman siedział skulony na krześle i zgrzytał zębami:

— Bandyta! — syczał. — Łobuz! Jak on śmie tak walić! Jak on śmie wyważać drzwi! W ostateczności ja mam prawo dać albo nie dać. Ja zaraz otworzę drzwi i dam mu w mordę.

Pani Cukierman złapała mę ża za rękę.

— Zwarjowałeś? Będziesz bił biednego żebraka, który przychodzi do nas tyle lat? Tsss... siedź cicho...

Ale pan Cukierman trząsł się ze zdenerwowania.

— Nie wiem, poco mu dawa łaś przez tyle lat?! Taki łobuz się rozzuchwalił.

Po godzinie walenie do drzwi ustało.

Ale po paru minutach państwo Cukierman usłyszeli pod oknami niesamowity hałas.

Podbiegli do okna.

Przed domem zatrzymała się karetka pogotowia, wóz straży ogniowej, samochód policyjny...

Po chwili przy drzwiach rozległo się znów walenie pięścią i państwo Cukierman usłyszeli znajomy głos żebraka, który tłumaczył:

— Panie komisarzu, tam się musiało coś stać! Już czwarty dzień dobijam się do nich i nikt nie odpowiada.

— Może wyjechali?

— Niemożliwe. Klucz tkwi w drzwiach...

Siny z gniewu pan Cukierman spojrzał na żonę.

— Słyszysz? Ten bydlak przez swoje 20 groszy sprowadził policję, pogotowie i straż ogniową. Masz! To są skutki twojej dobroczynności! Przez 5 lat takiemu łobuzowi ona dawała jałmużnę!

Trzęsąc się z oburzenia, poszedł otworzyć drzwi.

W sieni zebrał się tłum ludzi. Na samym przedzie stał żebrak.

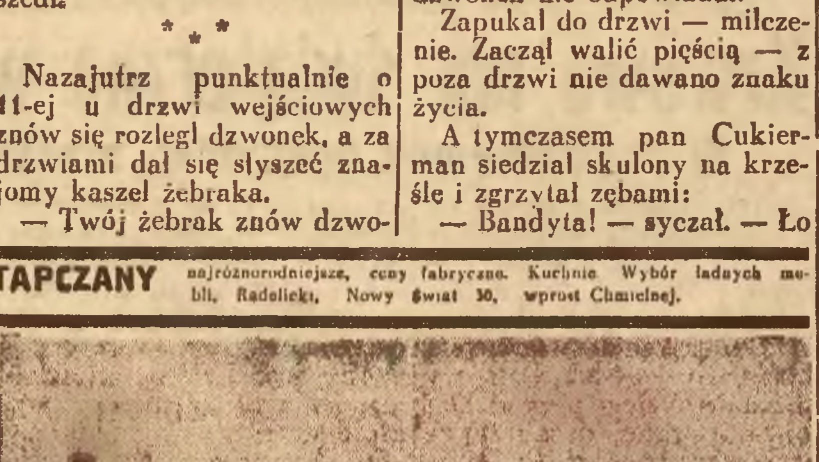
— To bezczelność! — ryknął pan Cukierman prosto w twarz żebrakowi. — Jak można przez 20 groszy robić taki gwałt. Nie dam żebrakowi więcej ani grosza!

— Panie drogi! — uśmiechnął się żebrak. — Ja nie po 20 groszy do was przyszedłem.

— Tylko poco, psiakrew?

— Na loterji wygrałem 200 tysięcy. A że słyszałem w sklepiku, że u was teraz straszna bryndza, więc chciałem wam trochę pomóc. Wyście mnie przez tyle lat wspierali, więc teraz ja wam chciałem się przysłużyć...

Kupon porady prawnej



Fragment meczu Warta — Fortuna w Düsseldorfie, który, jak wiadomo, przyniósł zwycięstwo drużynie niemieckiej w stosunku 5:2 (2:0). Prasa niemiecka omawiając ten mecz bardzo pochlebnie wyraża się o grze naszych piłkarzy.



INKASENT: Ostrzegam pana, panie dłużnik. Ostatni raz już jestem z tym rachunkiem u pana.
— To nawet bardzo słusznie. Doprawdy, szkoda pańskiego drogocennego czasu.

Pokrzywdzeni emeryci kolejowi

skarżą lekarzy komisyjnych o odszkodowanie

Do Sądu Okręgowego wpłynęło powództwo, wszczynające pierwszy w dziejach naszego sądownictwa proces, którego wynik może wywołać ogromne skutki w świecie pracowników, a zwłaszcza ubiegających się o przyznanie renty, skutkiem utraty zdolności do pracy.

Przy wszystkich dyrekcjach kolejowych urzędują komisje lekarskie, mające na celu opinjowanie o zdrowiu pracowników, którzy naskutek wypadków kolejowych utracili zdolność do pracy. Te komisje lekarskie nie cieszą się sympatją kolejowców, którzy twierdzą, że opinje są wydawane na niekorzyść pracowników.

W dyrekcji radomskiej zatrudnieni byli dwaj kolejarze, Piotr Iwaszczuk i Ludwik Lasek.

Piotr Iwaszczuk uległ nieszczęśliwemu wypadkowi przy pracy, łańcuch wagonowy bowiem wyrwał mu kawałek ciała. Iwaszczuk, stanąwszy przed Główną Komisją Lekarską, został uznany za całkowicie zdolnego do pracy.

Opierając się na tem orzeczeniu, Dyrekcja odmówiła mu renty.

Iwaszczuk, badany przez lekarzy prywatnych, którzy jednogłośnie stwierdzili u niego zanik mięśnia naramiennego, został przez tych lekarzy uznany za conajmniej niezdolnego do pracy w 50 procentach.

Jeszcze więcej rażący był wypadek z Laskiem. Dostał się on bowiem pod pociąg i został poszarpany przez parowóz. Mimo to, Komisja Lekarska uznała, iż Lasek utracił tylko 70 proc. zdolności i dyrekcja wymierzyła mu rentę w tej tylko wysokości. Lasek poddał się badaniu przez lekarzy prywatnych i ci jednogłośnie orzekli, iż Lasek jest niezdolny do pracy w jakimkolwiekbądź zawodzie.

Wówczas to rzecznik Iwaszczuka i Laska, adw. K. Hecht wystąpił do sądu, domagając się od członków komisji, dr. Kiersnowskiego, Ostrowskiego i Jankowskiego, osobiście odszkodowania na rzecz pracowników, którzy skutkiem wydanej przez lekarzy opinji zostali pozbawieni renty w przysługującej wysokości. W powództwie rzecznik pokrzywdzonych dowodzi, że skoro lekarze świadomie niedokładnie i nieskrupulatnie ocenili stopień niezdolności do pracy — to za wywołane w ten sposób skutki winni odpowiadać osobiście i solidarnie.

Ostateczny wynik tego niezwykłego procesu oczekiwany jest z dużem zainteresowaniem.

Szła po jaja — znalazła trupa

Drab zniewolił dziewczynkę, zabił i powiesił się

Jacqueline Montlahu była bardzo poważną dziewczynką. Otaczała wielką troskliwością swe młodsze rodzeństwo i robiła wrażenie małej mateczki. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia, gdy w Mueglon (Francja) panował na ulicach ożywiony ruch przedświąteczny, Jacqueline wyszła o 9 rano z mieszkania. Wzięła koszyk z wypraną bielizną, którą miała zanieść do Ludwika Beaux i od tej pory nie wróciła.

Zaniepokojony ojciec zawiadomił policję. Do południa następnego dnia policja nie mogła wpaść na trop zaginionej. Dopiero przypadek pozwolił znaleźć ją, ale już martwą. Sąsiadka pana Beaux zeszła do jego piwnicy, by wyjąć jaja z pod kury. Nagle wyskoczyła stamtąd z krzykiem:

— Na pomoc, na pomoc!

Ze wszechstrou nadbiegli sąsiedzi. W piwnicy rączka dziecięca wystawała z pod rupieci. Odsunięto graty i ujrzano zwłoki małej dziewczynki. Były to zwłoki Jacqueliny. Przybyły lekarz stwierdził, że zabójca przed zaduszeniem dziewczynki, zgwałcił ją w bestjalski sposób.

Podejrzenia zmiejsca padły na pana Beaux. Zaczęto dobijać się do jego mieszkania, lecz nikt nie odpowiadał z wnętrza. Wyważono więc drzwi. Beaux wisiał na belce pułapu. Sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

Dwaj studenci przed sądem

W dniu 15 czerwca r. b. odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim nielegalne zgromadzenie studentów. W czasie zebrania kilku mówców wygłosiło podburzające przemówienia. Wreszcie na dziedzińcu i korytarzach uniwersyteckich rozrzucono ulotki, w których nawoływano do akcji protestacyjnej przeciwko ordynacji wyborczej. Ulotki te były zredagowane w duchu nawskroś wywrotowym.

W czasie zebrania woźni uniwersyteccy zatrzymali dwóch mówców, a mianowicie studentów: Władysława Pietrzykowskiego i Sergjusza Minorskiego.

Obaj stanęli wczoraj przed Sądem Okręgowym, oskarżeni o przynależność do partji komunistycznej.

Obydwaj nie przyznawali się do winy, twierdząc, iż są czynnymi członkami legalnego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, będące go odpowiednikiem P. P. S. na terenie młodzieżowym. Okoliczność tę potwierdził zbadany w charakterze świadka b. poseł St. Dubois, skazany w swoim czasie w sprawie brzeskiej.

Polski szlak okrętowy

do Ameryki Południowej

Dowiadujemy się, iż zakończone zostały prace przygotowawcze, związane z otwarciem regularnej komunikacji okrętowej pomiędzy Gdynią, a portami Ameryki Południowej — przy pomocy polskich okrętów.

Termin wyjazdu pierwszego okrętu z Gdyni do Brazylji, Argentyny i Urugwaju wyznaczyły polskie linje okrętowe „Gal“ na dzień 28 lutego 1936 roku. Statek „Pułaski“, który odbędzie tę pierwszą podróż, zawiezie do Ameryki Południowej większą grupę emigrantów, pocztę i poważniejsze ładunki towarów przeznaczonych na eksport.

Społeczeństwo buduje szkoły

własnemi siłami

Bardzo cennym objawem naszych kryzysowych czasów jest niezwykle czynny stosunek społeczeństwa do sprawy budowy szkół powszechnych. Podczas, gdy wszelkie inwestycje budowlane samorządów ustają, jeżeli nie są opłacane z funduszów państwowych, ruch w dziedzinie budownictwa szkolnego panuje ożywiony. Państwo przestało subsydjować budownictwo publicznych szkół powszechnych i zdawaćby się mogło, że bez pomocy Państwa ruch budowlany zamrze. Jeżeli zaś nietylko nie zamiera, ale wykazuje znaczne ożywienie, zawdzięczać to można akcji finansowej Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych.

Nowa instytucja o charakterze wyższej użyteczności publicznej zdobyła szerokie poparcie wszystkich sfer społecznych, czego dowodem mogą być chociażby wyniki II Tygodnia Szkoły Powszechnej (2 — 8 października 1935 r.).

Organizatorzy „Tygodnia“ obawiali się, że z powodu coraz to cięższych warunków egzystencji wyniki finansowe II Tygodnia Szkoły Powszechnej będą o wiele gorsze od wyników zeszłorocznych. Stało się jednak inaczej. Ilustracją służyć może zestawienie wyników zbiórki w roku 1934 z takiemi wynikami w roku 1935 na terenie okręgu warszawskiego.

W roku 1934 zbiórka w okresie Tygodnia Szkoły Powszechnej w okręgu warszawskim dała w ostatecznym wyniku 97 tysięcy złotych. W roku bieżącym zbiórka przyniosła do 1 grudnia 163 tys. złotych, a należy przypuszczać, że do zamknięcia sprawozdania ze zbiórki suma ta zaokrągli się do 180 tys. zł., czyli da wynik niemal o 100 proc. lepszy od zeszłorocznego.

Ten piękny objaw ofiarności społecznej na budowę szkół powszechnych jest naprawdę budujący.

Ponieważ Komitet Okręgowy Warszawski Towarzystwa poza wpływami ze zbiórek ma swoje normalne wpływy organizacyjne (3.750 Kół w Okręgu) mógł więc wydatnie zasilać finansowo inicjatywę społeczną w dziedzinie budownictwa szkolnego.

I tak: w ciągu bieżącego roku Komitet Okręgowy udzielił na budowę szkół w Okręgu Warszawskim pożyczek w wysokości 726.000 zł.

Za te pieniądze buduje się w Okręgu 376 nowych izb lekcyjnych. Rezultaty akcji na terenie całego Państwa są tak samo poważne.

Ofiarnością swoją na rzecz budowy publicznych szkół powszechnych społeczeństwo daje zdecydowany dowód dbałości swojej o coraz to wyższy poziom szkolnictwa powszechnego, będącego fundamentem kultury narodowej.

Feluś Szpadrynka i ferajna

Niedzielny monolog „cwaniaka wolskiego“

Niedość, że od samej wigilji zły byłem, jak nagła śmierć to na dodatek ferajna jeszcze uwzięła sie mnie doszczekiwać:

— Wisz, Feluś, podobnież święta od tego są, żeby frygać i popijać przez przerwy. We wigilje popić, to faktycznie ździebko popilim, ale żeby sie nafrygać za wiele, to nie mogiemy sie pochwalić. A podobnież nawet tradycja świąteczna każe od rana do wieczora wylegiwać sie, a od wieczora do rana wbijać i szpirytusem podlewać, żeby sie kiszki nie pokręcili. A my co? Gdzie święta, gdzie tradycja, gdzie sznaps — sie pytamy?

— Macie racje, chłopaki! — mówie. — Faktycznie zwyczaje narodowe na twarz upadli. Nie tak to w dawnech czasach podobnież bywało! Znakiem tego, podtrzymać te zwyczaje narodowe musiem, czyli szopkie urządziem i z kolendamy będziem zapychać.

W trymigi przeflancował sie Hipek w niedźwiedzie skóre, co ją od znajomego rzeźnika wypożyczył, Wicek znowuż z czarnej ceraty, gdzieś rąbniętej, djabelski strój sobie zeszył, na łeb krowie rogi przytranżolił, morde sadzamy usmarował, a jak jeszcze we właściwe miejsce ogon, bezdomnemu pudlowi obcięty, przyczepił, to i sam lucyper od swojego syna nie rozróżniłby go. Włożyłem na rozum melonik, kij w garść, i Hipka, jako niedźwiedzia, na szpagacie prowadzę, a djabeł, czyli Wicek naobkoło skacze, psiem ogonem wymachuje i widłamy, od jednego śmieciarza po życzonemy, potrząsa.

— Z szopko po famielji najsampierw musowo! — mówie, — znaczy sie, do ciotki Warelci walem!

Akurat ciotka z kumoszkamy i jeszcze jakiemyś dwoma palantamy przy świątecznem fryganiu siedziała, a tu sie drzwi roztwierają i na wielkiem niedźwiedziu djabeł z rogamy i widłamy wjeżdża. Zbledli goście, baby sie białe, jak ten opłatek, zrobili, zębamy szczękają i krzyże w powietrzu kreślą. Ale jak zobaczyli, że i krzyż nic nie pomaga, a niedźwiedź sie z otwartą paszczą przysuwa, tak krzyk cholerny podnieśli i wszystkie trzy pod łóżko na grande sie pchają.

Pozostali sie tylko przy stole te dwa cwaniaki, bo jem trochie żal sie zrobiło od żarcia zjeżdżać, a trochie jem platfusy ze strachu posztywnieli. A temczasem djabeł, czyli Wicek, do stoła skiknął, widłamy jendyka pieczonego z pół miska taszczy i mnie połowe podaje. Niedźwiedź znowuż w łapy karafkie wiśniówki objął i w roztwarte paszcze przelewa.

Usłyszeli baby bulgotanie i z pod łóżka sie wypychają, ale podskoczył djabełek i, co która roztargane makówe wystawia, to ją widłamy straszy. A my temczasem zmiatamy wsio ze stołu, aż jednemu frajerowi, co sie przy stole zdrętwiały pozostał, z dziwoty wielkiej łyżeczka od herbaty na ziemie wypadła.

Podskiknął Wicek, jako że chłopak jentelegentny i grzecznie wychowany, i zamiast łyżeczki, swojem piesko - djabelskiem ogonem męszanie herbaty danemu gościowi w szklance uskutecznia. Oprzytomniał dany frajer, Wicka za ogon ułapił i szarpie. Szarpnął się także samo Wicek i mało, że cały ogon urwał, ale jeszcze djabelskie szaty rozchromolił, że tylko w bieliźnie sie został. Zobaczyła to ciotka przez szparkie w łóżku i skapowała sie, co to za szopka, tak w krzyk na mnie:

— To ty, draniu, antychryście, z djabłamy już spółkie zawiązujesz, szatanów z piekła rodem i małpy na mnie na puszczasz? A wont do smoły piekielnej! Ratujcie mie ludzie przed tem lucyperem! — i rzucili sie do nasz z lanszaftamy i wodo święcono.

Widze, że sie ludzie na zwyczajach ludowych nie znają, tak nie chcąc dnia świątecznego gwałcić, zwielim z ostatnią karafką wiśniaku na plac, gdzie choinka magistracka stała. Ale ferajnie sie uwidziało, że to nam, sirotom, aniołek te choinkie zafundował, tak wzięli tańczyć naobkoło niej trocadero, a potem po choince do samego czubka liźć, w poszukiwaniu za cukierkamy i orzechamy złoconemy.

Ludzie sie pozlatali, a władzuchna nam pięknie zaproponował, żebym z niem do komisarjątu na choinkie poszli — no to i poszlim!

Coś dla Pani

Klejnoty są nieodzownem dopełnieniem każdej toalety. Obecna moda noszenia sztucznych klejnotów, tak zresztą artystycznych, tak pięknych, — pozwala wspaniałomyślnie każdej pięknej kobiecie posiadać masę biżuterji. Jak sygnalizują z Paryża — ostatnim krzykiem mody jest wszelkiego rodzaju biżuterja wschodnia. Poza tem bardzo modne są bransolety — powinny być bardzo duże, szerokie, ciężkie. Na wieczór nosimy je zrobione ze sztucznych djamentów, szerokie, jak mankiet: sięgające niemal do łokcia. Poza tem bardzo modne są bransolety ze złoconej skóry, nabijane kolorowemi kamieniami. Te oczywiście nosimy do sukien o surowym, prostym kroju, wykonanych z ciężkich materjałów. Nierzadko bransoletka taka stanowi komplet z pasem obejmującym talję pani. Ostatnim krzykiem mody jest także emalja — biżuterja chińska — tak bogata w emalję — jest bardzo mile widziana. Nie trzeba jednak przypuszczać, że straciły łaskę djamentowe klipsy — kolczyki i brosze — ach, nie, wprost przeciwnie, kolczyki nosimy nadal, a klipsy do spinania sukien są jeszcze większe, niż były w roku ubiegłym i w dodatku, spina się niemi suknie — na plecach.

Za grzechy matek

Jedna z najpiękniejszych warszawianek, Krysia Alicka, wyszła zamąż za Pawła księcia Runiewicza. Ich noc poślubna przerwana została w sposób równie tragiczny, jak tajemniczy.

Z rozmowy między małżonkami wynikło, że tajemnicze przeżycia nocy poślubnej czynią ich pożycie małżeńskie niemożliwem. Książę poprosił jednak, aby księżna przed wszczęciem kroków o unieważnienie małżeństwa pozwoliła mu na rok wyjechać z kraju. Może jednak po roku zło minie. Książę wyjechał do Ameryki, a księżna do Zakopanego, gdzie nagle ujrzała swego dawnego znajomego Alfreda hr. Laneckiego.

Krystyna i Alfred spotykali się coraz częściej. Zapłonęła między nimi miłość ogromna. Zostali parą kochanków. Krystyna zataiła przed Alfredem, co zaszło w jej noc poślubną. Dała mu wszakże do zrozumienia, że po jakimś czasie będzie mogła zostać jego żoną. Nie przypuszczała bowiem, aby nadzieje męża na pomyślny dlań obrót sprawy mogły się ziścić.

Owocem miłości Alfreda i Krystyny było dziecko. Krystyna starannie ukryła narodzenie się dziecka, oddając je pod opiekę swej dawnej pokojówki, która wyszła zamąż za ogrodnika i mieszkała pod Wilanowem.

Okazało się, że wbrew przewidywaniom Krystyny, książę Paweł wrócił całkowicie odrodzony. Tragiczne przejścia nocy poślubnej już nigdy się nie powtórzą. Pragnął gorąco wznowić ich pożycie, tak nieszczęśliwie przerwane. Wyraził wszakże gotowość, w razie gdyby Krystyna przez ten czas pokochała innego, dobrowolnie usunąć się, popełniając samobójstwo, aby zwrócić jej wolność. Poprosił o odpowiedź.

Krystyna zgodziła się pozostać żoną księcia Pawła, który został szefem wielkiego przedsiębiorstwa przemysłowego i zamieszkał z żoną w Warszawie. W dniu jego imienin odbyło się wielkie przyjęcie. Przybył na nie Alfred hrabia Lanecki, który tymczasem ożenił się z przyjaciółką Krystyny — Zosią Burowską. Ta nieznacznie włożyła do książki księcia jakąś kartkę.

Hr. Lanecki zażądał, aby Krystyna pozwoliła mu obejrzeć ich dziecko — małą Haneczkę. Krystyna wahała się, obawiając się wykrycia tego, ale tak nalegał, że wkońcu pozwoliła mu udać się nazajutrz pod Wilanów, gdzie spotkają się i zaprowadzi go do ogrodnikowej Gerdziakowej, u której bywa co czwartek, odwiedzając swoją córeczkę. O tem wszystkiem dowiedziała się przypadkowo Lanecka i to było właśnie treścią kartki, jaką włożyła do książki księciu Runiewiczowi. Gdy książę to przeczytał, odrzucił anonim z pogardą. Lanecki udał się nazajutrz pod Wilanów. Tam wszakże przyłapała go żona, oświadczając mu, że wie wszystko i że lada chwila zjawi się tu ks. Runiewicz, aby przyłapać żonę. Chciała męża zatrzymać, aby go uchronić od niebezpieczeństwa, on wszakże wyrwał jej się i pobiegł ostrzec Krystynę. Tymczasem Gerdziakowa zwierzała się swej znajomej, Franciszce Baczkowskiej, że jej mąż sprzeniewierzył 400 zł. i grozi mu więzienie, jeżeli nie zwróci tej sumy. Nie mając skądinąd pomocy, chce zwrócić się z tą prośbą do Krystyny, której przybycia właśnie się spodziewa.

Krystyna przyszła i dała owe 400 zł. Magdzie Gerdziakowej. W tej samej chwili niemal wszakże wszedł jej mąż. Krystyna, przerażona, nie wiedziała, jak odpowiedzieć swemu mężowi na jego pytanie, skąd się tu wzięła i co to za dziecko. Uratowały ją Magda i Franciszka. Pierwsza pokazała, że listownie zwróciła się do Krystyny z prośbą o pomoc pieniężną, a druga powiedziała, że Haneczka to jej dziecko. Zabrała Haneczkę do siebie. Gdy odprowadziła ją zpowrotem do Gerdziakowej, przekonała się, że Gerdziakowa umarła ze zmartwienia, bo jej mąż przegrał na wyścigach również owe 400 zł, jakie otrzymała od Krystyny. Wobec tego zatrzymała dziecko u siebie.

Hr. Lanecka także bynajmniej nie miała nieskazitelnej przeszłości. Zanim wyszła za hr. Alfreda miała kochanka Adama Warskiego, z którym miała dziecko. Tenże Warski ożenił się następnie z bogatą wdówką. Akuszerka Mantarska, na jego prośbę upewniła Lanecką, że dziecko urodziło się martwe. Gdy hr. Lanecki przekonał się, że jego żona jest donosicielką, postanowił rozejść się z nią i poświęcić się wychowaniu Haneczki, na co otrzymał zgodę Krystyny. Przekonał się wszakże, że Haneczka zginęła bez śladu. Gdy Krystyna dowiedziała się o tem, rozchorowała się ciężko. Podczas choroby powiedziała mężowi całą prawdę. Przebaczył jej i postanowił dopomóc do odnalezienia Haneczki. Natomiast Zofja Lanecka postanowiła na malej pomścić zdradę męża. Franciszka Baczkowska wychowała Haneczkę, dała jej imię Steni i oddała do pracowni kapeluszy. Szefowa posłała ją kiedyś do sklepu Tarlickich. Syn właścicieli — Gustaw — zakochał się w Steni, prześlicznej już teraz pannie, — od pierwszego wejrzenia.

W Steni zakochał się nietylko Gustaw Tarlicki, ale również brat Oli — Jasio Mantarski.

Gucio Tarlicki oświadczył się Steni. Oznajmił o tem znajomym Steni, gdy, będąc z nią na wycieczce podmiejskiej, spotkał liczne ich grono. Wśród tych znajomych był również Jasiek Mantarski, który poprzysiągł zemstę Tarlickiemu.

Jasiek Mantarski ze swym przyjacielem, Edkiem, wstąpili do przydrożnej knajpki i łyknęli trzy większe pieprzówki z kropelkami dla nabrania „gazu". Pieprzówka była mocna, „kropelki" też zrobiły swoje. To też już wkrótce „pięknemu Jaśkowi" wrzało w głowie, jak w piekle.

Potem dobrnęli jakoś do kolejki, przyczem w bufecie kolejowym jeszcze się „dolakierowali" dokumentnie. Nic też dziwnego, że podczas przejazdu kolejką do Warszawy Jasiek snuł jak najbardziej ponure projekty. Z rozognionego mózgu tryskały plany zemsty straszliwej, a ze złowrogo zaciśniętych ust wypryskiwały co chwila strzępy najobrzydliwszych przekleństw. Bąknął wkońcu:

— Zobaczymy jeszcze, kto... kogo... Niech mi potem jeszcze kto powie, że zostałem z trzaskiem odwalony i schowałem to do kieszeni...

Dojechali wreszcie do Warszawy i z trudem wygramolili się z wagonu. Już się przeciskali przez tłum, gdy nagle Jasiek ledwo zdusił w sobie gwałtowny okrzyk. Z następnego wagonu właśnie wysiadała Stenia z Guciem.

Pierwszy odruch pchał go do tego, żeby odrazu tu, przy wszystkich, cisnąć w twarz szczęśliwszemu współzawodnikowi całą swoją nienawiść. Powstrzymał się wszakże i stanął na stronie, śledząc bacznie każdy krok tamtej pary.

Jego przyjaciel Edek był taki zalany, że wogóle nic nie widział. Poszedł dalej przed siebie, nie dostrzegając nawet, że rozstaje się z Jaśkiem. Ten zaś wcale go nie zatrzymywał. Przyglądał się tylko skrzętnie parze narzeczonych, zwolna zbliżających się ku wyjściu z dworca. Szedł za nimi myśląc:

— Jak wezmą taksówkę, to przepadłem. Nie mam ani gronia przy duszy. Wszystko poszło na wódę...

Rzeczywiście, Gucio zawołał taksówkę. Ale w tej samej chwili Stenia rzekła:

— Daj spokój, Guciu. Taka ładna pogoda! Przespacerujemy się.

Gucio zgodził się natychmiast. Jasiek, zacierając ręce, szedł za nimi w odległości mniej więcej stu kroków.

Gdy wreszcie doszli do domu, gdzie mieszkała Stenia. Gucio pożegnał się z nią. Powiedzieli sobie oboje „do jutra" i zamienili spojrzenia, pełne najserdeczniejszego uczucia.

Gucio rozejrzał się, czy niema gdzie tramwaju, ponieważ czuł się obco w tej dzielnicy robotniczej, niezbyt bezpiecznej o tak późnej porze. Nie widząc szyn, postanowił iść w kierunku śródmieścia. Ledwo skręcił za róg w ciemną uliczkę, gdy nagle ktoś zastąpił mu drogę.

Nie poznając Jaśka, a myśląc, że to poprostu jakiś pijak, Gucio usunął się na prawo, chcąc dać przejście nieznanemu osobnikowi. Tamten wszakże nagle chwycił go za ramię i zawołał:

— Pozwoli pan na chwileczkę...

Gucio zdecydowanym ruchem uwolnił się od napastnika i zapytał:

— Czego pan sobie życzy?

Jasiek wybełkotał:

— Chciałem ci tylko powiedzieć... panie ładny... że jeżeli... łobuzie, w dziąsło szarpany... będziesz się absztyfikował do tej sikorki, którą odprowadziłeś do domu, to takie ci manto spuszczę, że będziesz potem zęby w szmateczkę zbierał... Zabraniam ci, słyszysz? Zabraniam ci, ty, autobusem tam i zpowrotem jechany, słówko pisnąć do tej dziewczyny... A gdybyś się odważył ją tylko tknąć, to wiedz, że twoja ręka, noga, mózg na ścianie, oko na widelcu!... Ona jest moja, słyszysz, żłobie? Moja!!!

Gucio uczynił wszelkie wysiłki, aby panować nad sobą. Zapytał najspokojniej:

— A o kim to wogóle mowa? Bo nawet się nie domyślam.

— O tobie, jołopie!... O tobie i o Stence... twojej kochance, tej dziewce, dyszlem w ślepą kiszkę trącanej...

Tu już Gucio nie wytrzymał. Krzyknął:

— Precz ode mnie natychmiast, łajdaku! Ani mi się waż nawet słowem wspomnieć o mojej narzeczonej...

Jasiek ujął się pod boki i krzyknął:

— Narzeczonej jaśnie pana? Nie wiem, czem to jaśnie hrabia, co psy obrabia, tak dziewczynę zbajerował, ale honor niewielki! Ze Stenki głupia dziewczyna i można jej jaśniepaństwem łatwo łepetynkę zawrócić. Ale dość tego! I wiedz, ty chłystku, żem dziś łagodniak i zadowolnię się tem, że cię ostrzegam! Ale niech cię jeszcze raz ze Stenką przyłapię, to takie grzanie wlepię, że tylko mokre miejsce z ciebie zostanie! A teraz chodu i pies ci mordę lizał!... Won z moich oczu!...

Nie ustępował mu wszakże z drogi. Gucio zawołał więc:

— Z drogi, pijaku! Nie wiem, kim jesteś, i nie chcę wiedzieć! Precz!...

— Patrzcie państwo! Przyszedł w nasze strony i jeszcze mi tu będzie rozkazywał... A jeżeli nie wiesz, kim jestem, to ci się przedstawię. Jan Mantarski jestem, zwany „pięknym Jaśkiem", i mistrz szosowy sekcji kolarskiej klubu WBD! A takich, jak ty, i nawet jeszcze grubo silniejszych posyłałem do św. Ducha tuzinami. Pogotowie nie mogło nastarczyć z odwożeniem. Jednemu fangę w nos — leży, drugiego bykiem w dołek — trup, trzeciego... tą oto pięścią między ślepia... — i na pokaz podsunął Guciowi zaciśniętą pięść przed oczy.

Gustaw ani drgnął. Nie chciał wszczynać bójki z pijakiem w ciemnej ulicy.

Jasiek zaś, ośmielony, rozpuścił język na całego i trajkotał:

— Nie zna mnie, łamaga!... Jaśnie książę, co psy wiąże, nie raczył mnie zauważyć. Nie widziałeś to, łebiego, jak cię nakryłem dziś z całą ferajną, kiedyś się pod drzewkiem do Stenki zabierał? Gdyby nie to, że kobiety były, to jużbym cię wtedy obsztorcował na glans, jak nato zasługujesz, ofiaro, w móżdżek kopana!...

Gucio nie wyglądał na siłacza, ale był dobrze wysportowany. Miał POS i bywał za czasów uniwersyteckich często na treningach w sekcji bokserskiej AZS. To też, widząc, że dobrocią z Jaśkiem sobie nie poradzi, a zarazem, rozgniewany stekiem obelg andrusa, błyskawicznie zamachnął się i zaaplikował Jaśkowi klasycznego „sierpa" z prawej, aż trzasło i rozległo się echem po głuchej uliczce.

„Piękny Jasiek" zachwiał się. Potoczył się wtył i gdyby nie zatrzymał się o mur domu, z pewnością runąłby na ziemię.

Rozwścieczony, rzucił się na Gucia, ale tamten równie błyskawicznie dodał mu „lewego prostego", po którym Jasiek miał zdecydowanie dosyć i padł, jak kłoda...

Gucio chciał go zostawić własnemu losowi i iść dalej, ale w tej samej chwili Jasiek dzikim wysiłkiem zerwał się na równe nogi i ponownie zagrodził mu drogę.

Odruchowo otarł twarz ręką. Gdy spojrzał na nią, była cała we krwi...

To jeszcze bardziej rozwścieczyło Jaśka. Zawył, pokazując skrwawioną rękę:

— Nie chciałem cię tknąć, synu sobaczy, ale skoroś mi tyle juchy puścił, nie ujdziesz żywy. Teraz ja cię trochę pofarbuję. Widziałeś, jak wygląda moja krew, teraz ja popatrzę na twoją.

Błyskawicznie sięgnął do kieszeni i w mroku nocnym błysnęło ostrze noża... W tej samej chwili rzucił się na Gucia, stojącego mocno na nogach w obronnej pozycji bokserskiej, z „gardą", przygotowaną do „uniku". Wtem nagle napastnik się zatrzymał.

Gwałtowne uderzenie pięścią pchnęło go znów o mur, przy którym Jasiek ledwo stał teraz, chwiejąc się, lada chwila gotów ponownie runąć na ziemię...

Jednocześnie z mroku nocnego wyłoniła się jakaś postać męska. Nieznany osobnik chwycił mocno Jaśka za przegub ręki, w której polyskiwał nóż. I rzekł:

— Rzuć nóż, łobuzie!...

Gdy Jasiek nieodrazu usłuchał wezwania, nieznajomy jeszcze mocniej ścisnął mu rękę, jakby żelaznym pierścieniem. Aż Jaśkowi kości zatrzeszczały, tak go to zabolało, ale wypuścił nóż z ręki.

Gucio przyjrzał się nieznajomemu, który zjawił się w chwili najwłaściwszej... Sądząc z ubrania, był to jakiś robotnik, ale czysto i schludnie ubrany. Był to ten sam, który niegdyś w ogrodzie Saskim tak bacznie przyglądał się, jak Stenia i Ola karmiły gołębie. Jakiś przechodzień nazwał go wtedy Grzesiem.

Podszedł do Jaśka i zawołał groźnie:

— A teraz na kolana, bandyto, i błagaj tego pana o przebaczenie, jeżeli nie chcesz, żebym cię zaraz zaprowadził do komisarjatu za usiłowanie zabójstwa!

Jasiek oparł się temu żądaniu. Nic mu wszakże nie pomogło. Nieznajomy rzucił się na niego. Osłabiony alkoholem i kilkoma silnemi ciosami, otrzymanemi od Gucia i nieznajomego, nie mógł długo stawiać oporu. Po kilku chwilach borykania się, ciśnięty na kolana przez silniejszego przeciwnika, milczał, coprawda, uparcie, ale musiał klęczeć, trzymany żelazną dłonią swego zwycięzcy, przed Guciem ładnych parę minut.

Po chwili wreszcie przybysz rzekł:

— No, starczy na dziś. A teraz zwrot wtył, marsz do latarni i tam poczekasz na mnie. I ani mi się waż o krok dalej ruszyć!

Dysząc dziką wściekłością, Jasiek, zmiażdżony i zgnębiony, usłuchał wezwania.

Gucio zawołał, z zapałem ściskając dłoń przybysza:

— Drogi panie! Nie wiem wprost, jak panu dziękować za wybawienie mnie ze straszliwej opresji. Nie dostrzegłem nawet, że ten łobuz ma nóż. Uratował mi pan życie!

Tamten skłonił się i rzekł:

— Wydaje mi się, że teraz może pan już spokojnie iść do domu. Ten drań nie ośmieli się już na pana napaść.

— Czy wolno mi przynajmniej wiedzieć, z kim mam zaszczyt rozmawiać... kto jest moim szlachetnym zbawcą i obrońcą?

— Nie na wiele się to panu przyda. Ot, jestem sobie poprostu zwykłym przechodniem, który spełnił swój obowiązek.

— Proszę więc mi pozwolić uścisnąć panu raz jeszcze szlachetną dłoń pańską.

Tamten w milczeniu i z godnością podał rękę Guciowi, który ją uścisnął z całą serdecznością, mówiąc:

— Nazywam się Gustaw Tarlicki. Oto mój bilet wizytowy z adresem i telefonem moim. Byłbym niewypowiedzianie szczęśliwy, gdybym mógł czemkolwiek kiedyś jeszcze w życiu odwdzięczyć się panu. Proszę liczyć na moją bezwarunkową przyjaźń.

Nieznajomy odpowiedział milczącym ukłonem. Gucio odszedł, a tamten wrócił do Jaśka. Rzekł mu:

— Tym razem puszczam ci płazem to wszystko. Widzę, żeś pijany na umór, i dlatego ci wybaczam. Ale gdybyś jeszcze raz coś podobnego zrobił, łobuzie, to nie wyjdziesz cało!... A teraz zjeżdżaj!...

— Jeden i drugi jeszcze tak ode mnie dostaniecie, że będziecie mieli zapłacone z procentem. A Stenki i tak temu chłystkowi nie oddam. Po moim trupie!...

Dalszy ciąg jutro.

Felicja Chencinerówna

MIŁOŚĆ NA BEZDROŻACH

Pamiętniki córki warszawskiego miljonera

Fatalna cyfra

Muszę na chwilkę odbiec od tematu, aby opowiedzieć o przedziwnem, wprost fantastycznem fatum, które nas prześladuje.

Są ludzie, co bezkrytycznie wierzą w przesądy, inni znów śmieją się z nich i ich zabobonów.

Kpiłam sobie zawsze z ludzi, którzy przywiązywali wagę do pewnych liczb, czy prognostyków.

W życiu mojego męża i mojem jest cyfra, która jest dla nas symbolem nieszczęścia i niepowodzenia. Tą liczbą jest: 23!

Oto fakty, związane z feralną cyfrą:

Ojciec mój zachorował ciężko 23 marca, co spowodowało odłożenie naszego ślubu!

Okręt zabrali nam 23 listopada, przez co straciliśmy wszystkie pieniądze.

Wyrok eksmisyjny z mego mieszkania zapadł 23 listopada!

Szofer mojego samochodu przejechał człowieka 23 lipca!

Henryk złamał nogę 23 lutego!

Matka Henryka umarła 23 marca!

Ja w więzieniu dostałam celę 23 i tego dnia figurowałam w Urzędzie Śledczym, jako zatrzymana Nr. 23!

Długo mogłabym jeszcze wyliczać wszystkie moje nieszczęścia i tragedje, które stały się właśnie 23-go.

Dziś tak boję się tej daty, że, gdy przychodzi 23 i nic strasznego się tego dnia nie stanie, jestem mocno zdziwiona.

Niestety, takich wypadków było bardzo mało!

Jak wytłumaczyć to tragiczne fatum, zaklęte w tej pechowej cyfrze?

*

Tragedję mojego ojca, na którego urząd skarbowy nałożył grzywnę w kwocie miljona złotych, przeżywałam bardzo ciężko.

Miljon złotych! Przecież to suma, która mogła sprowadzić ruinę nawet tak potężnej firmy, jak Jakób Chenciner.

Po artykułach w gazetach, w których wyraźnie posądzano mnie o denuncjację ojca, chodziłam, jak błędna. Rozpacz moja nie miała granic.

Napróżno pocieszał mnie Henryk, że nikt z rozsądnych ludzi nie uwierzy w takie głupstwo. Coby przyszło córce z ruiny majątkowej własnego ojca, pominąwszy już naturalnie momenty moralne?!

Ojciec mój, znękany chorobą i nieszczęściem, postanowił oddać interesy w ręce synów i wyjechać do Palestyny.

Bracia moi wyrobili w domu tak dalece nieprzyjazną atmosferę dla mnie, że przygotowania do wyjazdu robili w wielkiej tajemnicy przede mną. Przed wyjazdem jednak że postanowili wydać zamąż młodszą swoją córkę, a moją siostrę, Rózię.

Wspaniała uczta weselna odbyła się w luksusowej restauracji „Piccadilli" na Bielańskiej.

Co to było za wspaniałe przyjęcie!

Wynajęto całą restaurację. Długie szeregi stołów uginały się pod wspaniałemi trunkami i najbardziej wyszukanem jedzeniem.

Mój ojciec sprowadził specjalnie z zagranicy kilka skrzynek szampana i najdroższych win.

Uczta zaczęła się naturalnie od tradycyjnego śledzia, do którego goście, wiedząc o zamożności gospodarza, zapijali najwspanialsze napoje.

Ile tam poszło jedzenia, jeden tylko mój ojciec, który płacił rachunek, może powiedzieć. Złośliwi opowiadali, że goście pościli podobno od kilku dni, aby godnie raczyć się na tak wspaniałej uczcie.

Rózia otrzymała w prezencie luksusowe, czteropokojowe mieszkanie. Małżeńska sypialnia, utrzymana w subtelnym niebieskim kolorze, umeblowana była z iście miljonerskim przepychem.

W jakiś czas po ślubie siostry, rodzice wyjechali z Warszawy. Zlikwidowali wszystkie interesy i pojechali do Palestyny.

*

Była to niedziela. Jak zwykle, obudziłam się o ósmej rano. W mieszkaniu panowała zupełna cisza.

Zadzwoniłam na służącą.

— Lolu, proszę mi podać śniadanie! — powiedziałam.

— Ależ, panienko, ktoby teraz myślał o śniadaniu! — powiedziała z przejęciem.

— Co się stało? — zapytałam przestraszona.

— Jakto, panienka chyba żartuje? Rodzice wyjechali dziś w nocy zagranicę.

— Wyjechali do Palestyny? — powtórzyłam przerażona.

W tej chwili usłyszałam w przedpokoju jakieś krzyki.

— Chencinerowie uciekli! — krzyczał ktoś. — Skład zlikwidowali! Ja muszę dostać odszkodowanie za straconą pracę.

Był to pracownik firmy ojca, który, przyszedłszy do pracy i zastawszy wszystko zamknięte, zorjentował się, że stracił posadę z dnia na dzień i chciał, aby mu wypłacono odszkodowanie.

Brat mój, Jerzy, uspokajał go, jak mógł, ale pracownik krzyczał coraz głośniej.

— Proszę mi zapłacić, to jest świństwo.

Zatkałam sobie uszy, aby nie słyszeć jego krzyków.

Przeszłam do innych pokoi i tu przypadkiem spojrzałam na jedną z szaf. Była pusta. Widocznie zabierano z niej rzeczy w pośpiechu, gdyż wiele mniej wartościowych przedmiotów leżało w nieładzie. Kolejno oglądałam inne szafy i biurka — wszystkie były puste. Rodzice wszystko zabrali z mieszkania — pozostały tylko meble. W chwilę potem wkroczyli do mieszkania urzędnicy skarbowi i opieczętowali meble.

W składzie futer nie mieli, coprawda, wiele do pieczętowania, gdyż wisiało tam melancholijnie kilka farbowanych ogonów króliczych. Cały skład był doszczętnie wyprzedany.

Zorjentowawszy się w sytuacji, pobiegłam do Henryka.

Opowiedziałam mu o wszystkiem, zaś on tylko filozoficznie pokiwał głową.

— Może wreszcie teraz odmieni się twój los! — pocieszał mnie.

Niestety, los mój zmienił się, ale, naturalnie, jeszcze na gorsze.

Na drugi dzień zadzwoniła do mnie znajoma, zaufana osoba naszego domu, i zakomunikowała mi radosną nowinę, że brat mój wręczył jej listy, na podstawie których mogę podjąć rzeczy, wartości kilkudziesięciu tysięcy, co zapewni mi na długo dostatnie utrzymanie.

Gdy zgłosiłam się do znajomej i otrzymałam owe listy, okazało się, że są to kwity na moje kufry, które zabrać sobie mogę z przechowalni. Jakież było moje zdumienie i przerażenie, gdy zobaczyłam zawartość kufrów!

Dalszy ciąg jutro.

W CZTERY OCZY

Intymne rozmowy Iksa z Czytelnikami

Dwie przygody miłosne

P. Ira W.

zwierza nam się:

„W zeszłym roku latem poznałam chłopca imieniem Olek. Kończył wówczas 20-ty rok, ja zaś miałam lat 18.

Widocznie dobraliśmy się, gdyż po krótkim czasie został zawiązany między nami węzeł czystej miłości. Kochaliśmy się wzajemnie i byliśmy szczęśliwi. Lecz niedługo trwało to szczęście. Zaledwie 4 miesiące, gdyż łańcuch naszej miłości zaczął się ku mej rozpaczy rwać powoli.

Olek stawał się coraz obojętniejszy. Ja znów za wiele miałam dumy, abu mu się narzucać.

Widywałam go często, gdyż tak się składały okoliczności, lecz można sobie wyobrazić mój ból, gdy musiałam patrzeć na niego, a rozmawiać nie wolno mi było.

Minął jakiś czas. Nastało jak gdyby zapomnienie. Poznałam drugiego, który mi się odrazu oświadczył. Spotykaliśmy się 5 miesięcy. Nie powiem, abym go kochała, lecz przyzwyczaiłam się.

Pewnego razu otrzymałam od mego Olka list, w którym przepraszał mnie i prosił o przebaczenie. Stefan (gdyż takie było imię drugiego), dowiedziawszy się o tem, podejrzewał mnie, że obcuję jednocześnie z Olkiem. A był bardzo zazdrosny.

Znalazłam się między młotem a kowadłem. Nie wiedziałam, z którym mam rzeczywiście się przyjaźnić, a dwum jednocześnie głowy zawracać nie mogłam.

Żal mi było i Stefana i Olka, gdyż obaj wyznawali mi miłość.

Po długich namysłach postanowiłam odmówić Olkowi. Tak mi podyktowało sumienie. I dopiero teraz przekonałam się, że serce jednak było sprzeczne z sumieniem.

W niedługim czasie zerwałam ze Stefanem. Od tej chwili myślę tylko o Olku. Chciałabym, aby się dowiedział, że jedynie dla niego zerwałam ze Stefanem. Powiedzieć mu tego ustnie nie mam odwagi, gdyż bardzo dawno go nie widziałam, a pójść do niego byłoby dla mnie bardzo ciężko.

Chcę jednak, aby zapomniał i nie zważał na mój list, w którym odmówiłam mu spotykania się ze mną.

Może poruszy się w nim sumienie i zechce się odezwać?

A jeżeli to nic nie pomoże, radź na wszelki wypadek, Redaktorze, co mam czynić."

*

Nic łatwiejszego. Skoro Pani woli uniknąć ustnej rozmowy, należy poprostu napisać list, wykładając, co Pani leży na sercu. Proszę tylko nie kierować się głupią „ambicją", która jest niemal takim samym wrogiem miłości, jak zazdrość.

Na małej wokandzie...

Lekcja pływania

(A.E.) Pan Aleksander Glomb wybrał się z wizytą do swego przyjaciela, Stefana Komorowskiego.

Ujrzawszy jednak po przybyciu, że pan Stefan siedzi, czerwony, jak burak, nad butelką wódki, postanowił wymknąć się czem prędzej, ponieważ pana Stefana po pijanemu trzymały się niebezpieczne figle.

Ucieczka nie udała się jednak. Gospodarz chwycił bowiem pana Aleksandra za rękę i syknął:

— Gdzie wiejesz, łachu, gdzie wiejesz?

Ledwieś przyjaciela od serca na oczy zobaczył, już cię gdzieś licho ponosi?

To się przyjaźń nazywa?

Siedź, psiakrew, w melinie, bo ci tak zara tą flachą cyferblat rozchromolę, że cię rodzona prababcia nie pozna.

No coś tak mordę nastawił? Zamiast się ulitować nad bliźnim w gazowem stanie, śmichy ze mnie będziesz urzeczywistniał?

Ja cię nauczę, flimonie dęty, pętaku marny, wygniotku!

Pływaj mi tu zaraz!! — ryknął pan Stefan i wyrwał z kieszeni rewolwer.

Przerażony gość musiał rad nie rad wyciągnąć się na podłodze i machać kończynami, jakgdyby przy pływaniu. A nasrożony pan Stefan ściskał w garści rewolwer i komenderował:

— Żabką! Mocniej, psia krew, lewem pedałem! Po piesku tera! Po kozacku dla odmiany!

*

Przed sądem pan Aleksander dał wyraz swemu oburzeniu i domagał się surowej kary dla oskarżonego.

— Musi łobuz z parę tygodni w mamrze pokiwać — mówił, — ażeby się przestał w pestkie urzynać, jak ta świnia.

No bo przecie niemożliwa rzecz!

Jeszcze dobrze, że mnie tylko do pływania przymuszał; ale cobym zrobił, o wieleby mnie nurka kazał uskutecznić?

Sąd skazał pana Stefana na tydzień aresztu.

Tłumaczenie snów naszym Czytelnikom

P. „Promienna, Warszawa" pisze:

„Śniło mi się, że miałam dziecko, choć nie miałam męża. Dzieckiem tem był śliczny, maleńki chłopczyk, który, choć miał zaledwie kilkanaście dni, już podnosił się i szczebiotał niezrozumiałe słowa.

Dziwiło mnie tylko, że mama moja wcale się nie gniewała na mnie i nie pytała o ojca tego dziecka, a przeciwnie, była bardzo przychylna dla mnie i dla mego synka".

×

Sen Pani wróży zamążpójście i synka po ślubie, ulubieńca rodziny. Grozi Pani oszustwo lub kradzież. Radosne spotkanie czeka Panią. Szczęśliwa data: 22 czerwca.

L. K. S. Będzie pociecha z dzieci. Córka może się uczyć śpiewu, ale niech jednocześnie zajmie się czemś innem. Wojskowy nie ma narazie poważnych zamiarów. Będą zwiększone dochody w rodzinie.

Smutnooka Lili — Piastów. Jest Pani obdarzona wrodzoną inteligencją i zdolnościami. Niezawsze mówi Pani prawdę. Wyjdzie Pani zamąż za blondyna. Praca będzie, lecz nieprędko. Wbrew swym przeczuciom żyć będzie Pani długo. Uprzedzam, że nie lubię odpowiadać listownie.

Lena J. 1901/13. Może Pani grać na loterji. Wygra Pani proces. Zamążpójście w ciągu najbliższych dwóch lat. Ma Pani niewłaściwy pogląd na świat. Szczęśliwe daty: 13-ty każdego miesiąca.

„Henryka". Nie wyjdzie Pani zamąż. Brat z zagranicy wróci do kraju. Pani siostra nie wyplącze się z owej afery.

Bryła złota za nocleg w przytułku

Niesamowite dzieje rekordowego pechowca

Po dwudziestoletniej wędrówce po świecie w tych dniach wrócił do swej rodzinnej wioski sycylijskiej 34-letni Giuseppe Gigi. Włoskie dzienniki poświęciły mu wiele miejsca i nadały mu zaszczytną nazwę: „Giuseppe Gigi, rekordowy pechowiec".

I rzeczywiście jego przeżycia wskazują na to, że w tej nazwie niema wiele przesady.

PIERWSZY PECH

Giuseppe był synem biednych rybaków. Rodzice sądzili, że i on w przyszłości będzie rybakiem. Gdy miał lat 12, oddano go na żaglowiec na przeszkolenie. Już podczas pierwszego pobytu na morzu pech zaczął go prześladować.

Pewnego razu, gdy znajdował się na żaglu, który miał zwinąć, stracił równowagę i spadł na pokład. Nic sobie nie zrobił. Natomiast runął na głowę sternika, który padł na pokład, jak rażony piorunem. Sternik doznał wstrząsu mózgu, a Gigi został pobity przez kapitana do krwi. Na domiar złego kapitan przegonił go ze swego statku.

Chłopiec nie przejął się tem zbytnio, dostał się bowiem wkrótce na inny żaglowiec. W drugim roku wojny Gigi jest już marynarzem na statku towarowym, przewożącym banany. Pewnego dnia statek najechał na minę i wysadzony został w powietrze, a wraz z nim cała załoga.

I po raz drugi Gigiemu dopisuje szczęście w pechu. Jest jednym z tych nielicznych, którzy ocaleli. Resztkami przytomności uchwycił się w wodzie deski i na niej płynął godzinami. Wreszcie został uratowany. Zauważono go z łodzi rybackiej i wyciągnięto z wody.

NA OKRĘCIE, KTÓRY ZATONĄŁ

Mija kilka lat. Gigi jest znów marynarzem. Tym razem znajduje się na pokładzie okrętu wojennego. Pewnego dnia okręt znalazł się w zatoce Meksykańskiej. Nagle zerwała się gwałtowna burza. Okręt najechał na rafę i poszedł na dno. Na szczęście opodal znajdował się statek pasażerski, który wziął na swój pokład rozbitków.

Podczas katastrofy Gigi stracił wszystkie oszczędności i dostał się na ląd bez grosza przy duszy. Przez wiele miesięcy wędruje poprzez Amerykę, jako włóczęga i napróżno szuka jakiegoś zajęcia. Podczas tej wędrówki doznaje wiele przykrości. Od domków farmerów odpędzają go psy. Z pociągów towarowych zrzucają go brekowi na szyny. Wreszcie otrzymuje pracę. Zostaje gońcem pewnego handlarza starzyzną.

W SŁUŻBIE U GANGSTERA

Gigi jest uszczęśliwiony. Ma przecież pracę! Lecz okazuje się, że to wcale nie szczęście, a poprostu pech. Handlarz jest bowiem wybitnym hersztem bandy gangsterskiej. W świecie podziemnym nosi nawet szumne przezwisko „Rycerz o żelaznej pięści". Pewnego dnia w sklepie gangstera zjawia się policja, chcąc go aresztować.

Gangster nie myśli oddać się biernie w ręce policji. Wyciąga rewolwer i kładzie trupem dwóch policjantów. Rozgorzała zacięta walka. Wreszcie bandyta musi się poddać. Grozi mu elektryczne krzesło. Próbuje jednak uniknąć śmierci. Zrzuca całą winę na swego gońca. Twierdzi, że on postrzelił policjantów i że on jest tym groźnym gangsterem.

Gigi zostaje aresztowany. Ponieważ nie zna angielskiego i nie umie się wysłowić grozi mu śmierć na fotelu elektrycznym.

Na domiar złego w chwili zabójstwa policjantów nie było żadnych świadków w sklepie, a koledzy zabitych wtargnęli do wnętrza dopiero wówczas, gdy ci wyzionęli już ducha. Zdawało się, że tym razem pechowiec nie uniknie śmierci, jednakże w ostatniej chwili zgłosił się do policji pewien człowiek, który przypadkiem przechodził obok sklepu, w którym dokonano zabójstwa. Twierdził, że goniec stał przy drzwiach i oglądał jakieś stare ubranie, natomiast do policjantów strzelał jego pracodawca. Gangster nie uniknął więc kary, a Gigi został przy życiu.

Lecz to życie nie było godne zazdrości. Nie miał grosza przy duszy, ani żadnej pracy. Gigi znów udał się na włóczęgę. Pewnego dnia spotkał grupę poszukiwaczy złota, którzy udawali się do Alaski. Przyłączył się do nich.

W złotodajnej okolicy przebywał cały rok, cierpiąc coniemiara. Lecz szczęście raz mu dopisało. Znalazł olbrzymią bryłę złota wartości 40000 dolarów. Nie namyślając się długo, pakuje manatki i wraca do ojczyzny, za którą już od lat tęskni. Pragnie nabyć w stronach rodzinnych statek i zająć się rzemiosłem swych przodków.

Gigi przebył ocean i wylądował w Neapolu. Nie chcąc wydawać zbyt dużo pieniędzy, postanawia przenocować w przytułku. Lecz ten nocleg kosztował go o wiele drożej, niż przespanie nocy w najbardziej nawet luksusowym hotelu. Gdy się obudził następnego rana, przekonał się, że go okradziono i że znów został bez grosza. Zrozpaczony udał się do policji. Nowy grom z nieba! Został aresztowany.

NIEWINNIE UWIĘZIONY

Rozpacz jego, nie miała granic. Okradziono go, a nadomiar wszystkiego jeszcze aresztowano. Czy coś przeskrobał? Oskarżono go o dokonanie całej serji oszustw ubezpieczeniowych i o fałszowanie czeków.

Napróżno Gigi twierdził, że nigdy nie miał z tem nic wspólnego. Władze nie przypisywały jego zeznaniom znaczenia i przez kilka miesięcy siedział w więzieniu. Dopiero po niewczasie okazało się, że poszukiwanym przestępcą był pewien Włoch o podobnem nazwisku i że go aresztowano na terenie Ameryki.

Gigi odzyskał wolność i wreszcie wrócił do swej rodzinnej wioski, rozumie się bez pieniędzy. Gdy przybył na miejsce dowiedział się, że jego najbliżsi dawno wymarli. Ta wiadomość przybiła go do reszty. Czeka na śmierć, która zamknie łańcuch pecha.

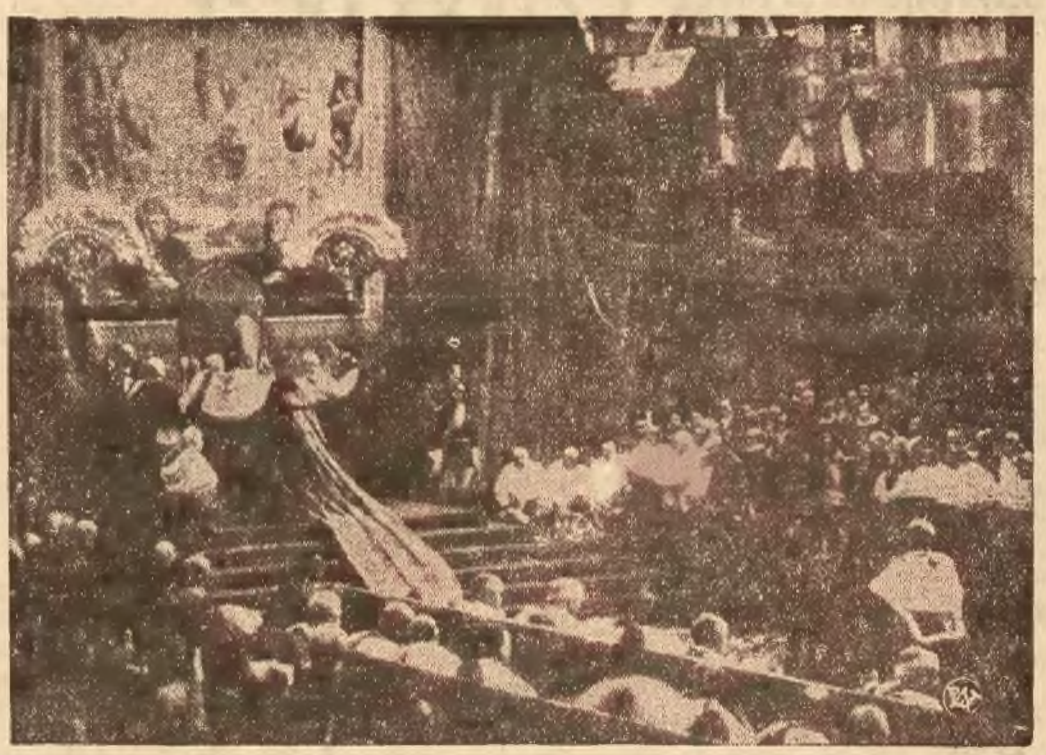


Wcześnie zaczęli jako bandyci

Smarkacze z nożami naszli dom chlebodawcy

Zuchwałego napadu rabunkowego dokonano onegdaj we wsi Wiąk pod Świeciem. Do domu zamożnego gospodarza, Hermana Majewskiego, w czasie jego nieobecności, wtargnęło dwu zamaskowanych bandytów z nożami w ręku. W mieszkaniu znajdowała się tylko 64-letnia Katarzyna Evertowa, która została steroryzowana przez jednego z napastników. Bandyci domagali się wydania wszystkich pieniędzy, znajdujących się w domu. Zabrawszy 170 zł., uciekli.

Majewski należy do bogatszych rolników, przed kilkoma dniami otrzymał większą przesyłkę pieniężną, którą jednak ulokował w banku. Opierając się na tych danych, władze śledcze doszły do przekonania, że napad musiał być dziełem dobrze zorjentowanych ludzi, a więc miejscowych. W wyniku dochodzenia, już w 6 godzin po napadzie zostali ujęci: 19-letni Ernest Branke, który był poprzednio zatrudniony, jako parobek, u Majewskiego, oraz 16-letni Szczepan Kępa. Młodociani bandyci zostali osadzeni w areszcie. Zrabowaną gotówkę odebrano.



Przy zachowaniu uroczystego tradycyjnego ceremonjału Ojciec święty Pius XI (Na zdjęciu na tronie papieskim w złotej tiarze) wręczył kapelusze kardynalskie 20-u nowomianowanym kardynałom. Uroczystość odbyła się w Bazylice św. Piotra w Rzymie.

DANIEL BACHRACH

Śladami przestępców

Z pamiętników b. aspiranta Warszawskiego Urzędu Śledczego

Przez lekkomyślność do zbrodni

W czasie okupacji niemieckiej, głośne było w Warszawie morderstwo dokonane w tajemniczych okolicznościach na osobie młodziutkiej i pięknej wdowy po dostawcy wojskowym, bogaczu, nazwiskiem R., człowieku 68-letnim.

Mord wydarzył się w kilka miesięcy po śmierci starego kupca. Jakkolwiek ta śmierć uznana została przez lekarzy za naturalną — autor, który wtedy przeprowadzał dochodzenie, powziął poważne podejrzenia. Zbadał piękną wdówkę, niewiele jednak z wywiadu tego uzyskując.

Ale podejrzenia jego pogłębiły się, gdy spotkał panią R., bawiącą się wesoło w kabarecie pod „Czarnym Kotem".

Jej tajemniczy, tragiczny zgon w apartamencie, w którym mieszkała sama, powikłał jeszcze sytuację. Dopiero słaby wątek, mogący naprowadzić na ślad zabójcy, zarysowuje się w toku badania przychodniej po sługaczki i stróża domu przy ul. Szopena. Dokąd zaprowadzą autora te nici? — dowiemy się z następnych odcinków.

IV.

— Czy pani ma jakich krewnych?

— Tego to nie wiem, tylko siostra nieboszczyka pana mieszka na Kruczej ulicy pod 116.

— Powiedzcie mi jeszcze, czy do pani często goście przychodzili i czy znacie kogoś z tych gości?

— Ja nikogo nie widziałam. Czasem to pani kazała mi przyszykować kawę na wieczór i nakryć stół. Mówiła, że mają przyjść goście, ale kto przychodził, tego nie wiem.

— A czy znacie przyjaciółkę pani, taką przystojną szatynkę? — pytałem dalej, podając jej rysopis nieznajomej z kabaretu.

— Tę to znam. Kilka razy nocowała u pani i wiem nawet gdzie mieszka, bo nosiłam do niej listy.

— Chodzi mi właśnie o ten adres.

— Ta pani mieszka na Wareckiej 36 i nazywa się Krasucka (nazwisko i adres ze zrozumiałych względów zmienione).

— Mówicie, moja kobieto, żeście kilka razy były w domu u tej pani Krasuckiej. Czy to mężatka, czy panienka?

— Mężatka, ale słyszałam, że z mężem nie żyje.

Na tem zakończyłem badanie posługaczki i, zwolniwszy ją, kazałem wprowadzić dozorcę domu.

— Co mi możecie powiedzieć o dokonanem w waszym domu morderstwie?

— A cóż ja, panie naczelniku, mogę powiedzieć. Od dwu nastu lat już jestem w tym domu i przez ten cały czas nawet kradzieży nie było ani raz, a tu takie nieszczęście.

— Czy państwo R. dawno mieszkali w tym domu? — pytałem dalej.

— Już będzie piąty rok. Jak się tylko pobrali, to się zaraz do nas wprowadzili.

— A dzieci nie mieli?

— Skądby tam dzieci, — uśmiechnął się dozorca. — Nieboszczyk mógłby być ojcem a nawet dziadkiem pani.

— Więc był tyle starszy od niej?

— Z pewnością o jakieś trzydzieści pięć lat, a może nawet i więcej.

— Powiedzcie mi jeszcze, czy dużo gości odwiedzało nieboszczyka?

— To jest wprawdzie grzech o nieboszczykach źle mówić i niech jej tam ziemia lekką będzie, ale jak nawet pan żył i wyjeżdżał z domu, bo czasem to go nawet całemi tygodniami nie było w Warszawie, to nieboszczka urządzała w mieszkaniu takie zabawy, że aż wstyd było przed lokatorami. Po całych nocach grali na gramofonie i tańcowali.

— To jednak dziwne, że nikt nie uprzedzał jej męża o tem, co się działo w czasie jego nieobecności.

— Powiedzieć prawdę, to była bardzo dobra paniusia i wszyscy ją lubieli w kamienicy. Mówili nawet, dobrze takiemu staremu, zachciało mu się młodej żony, to niech ma za swoje, a nawet litowali się nad nią, że wiecznie była sama i nie było nic dziwnego, że bawiła się z młodymi.

— Czy nieboszczka ubiegłej nocy późno wróciła do domu i czy przychodził z nią ktoś?

— Pewnikiem wcale nie wychodziła. Ja od szóstej już siedzę w bramie i na pewnoby ją zauważył, a bramy jej też nie otwierałem. Widziałem tylko, jak koło ósmej przychodziła ta jej znajoma pani, ale wyszła jeszcze przed zamknięciem bramy.

— Czy prócz tej pani nie zauważyliście nikogo obcego wchodzącego, a co najważniejsze, czy w nocy lub nad ranem nie wypuszczaliście nikogo z domu?—Dozorca namyślał się przez chwilę. — Wypuszczać to nikogo w nocy nie wypuszczałem, a żeby ktoś wchodził, to chyba tylko wtedy, jak wszedłem na chwilę do mieszkania albo za potrzebą.

— O której otwieracie rano bramę?

Dalszy ciąg jutro.

OBŁĘDNA MIŁOŚĆ

STRESZCZENIE.

Hrabia Kazimierz Forowski, właściciel pięknego zamku na Kresach Wschodnich, potomek możnego rodu magnackiego, ożenił się z czarująco uroczą Gruzinką Mirą. Podczas wielkiego balu, jaki się odbył zaraz po ślubie, hr. Stefan Wandycz założył się z trzema kolegami, że w ciągu 24 godzin zdobędzie młodą hrabinę.

Nazajutrz z rana hrabia Kazimierz wyjechał na polowanie. Po kilku godzinach hrabina Mira otrzymała wiadomość, że jej mężowi przytrafił się jakiś wypadek. Wzywano ją do natychmiastowego przybycia. Hrabina Mira mknęła z przerażeniem do męża, gdy wreszcie goniec wskazał jej jakąś lepiankę ukrytą w lesie. Weszła tam, lecz ku swemu zdumieniu nie zastała w niej męża. Znalazł się natomiast jakiś zamaskowany osobnik, który na wszystkie jej pytania odpowiedział milczeniem, a wkońcu rzucił się na nią.

Hrabia Kazimierz wrócił z polowania. Cała służba była zdziwiona, że przyjechał zdrów i cały, on zaś był niemal przerażony, widząc, że żony niema w domu. Gdy dowiedział się o wszystkiem, natychmiast pomknął na poszukiwania żony. Odnalazł lepiankę i z przerażeniem stwierdził, że jego żona padła ofiarą brutalnego gwałtu.

Hrabia Wandycz, sprawca ohydnego gwałtu, szybko pożałował swego czynu, bo jak się okazało, zakochał się w swej ofierze hrabinie Mirze. Jedynego świadka — gońca — wyprawił do Warszawy, zobowiązując go, aby nigdy tu więcej nie wracał.

Punktualnie o dziesiątej zgłosili się do hr. Wandycza jego trzej przyjaciele z zapytaniem o wynik zakładu. Odparł, że przegrał, wypłacił umowioną sumę, nie chciał wszakże pojechać z nimi do Warszawy, pojechali więc sami. Potem powrócili na wieś i po kilku dniach znów się spotkali w wileńskim klubie karcianym.

Wtem podszedł do rozmawiających ich znajomy i oświadczył, że właśnie wszedł do klubu Kazimierz hr. Forowski.

Okazało się, że hr. Forowski szuka zapomnienia w hazardzie, ale daremnie. Żonie nietylko nie darował winy, ale nawet jeszcze bardziej rozwścieczył się na nią, dowiedziawszy się, że zaszła w ciążę i to niewątpliwie naskutek dokonanego na niej gwałtu.

Pewnego dnia koń hr. Kazimierza rozbrykał się. Ujrzawszy to przypadkowo hr. Wandycz, skoczył i zatrzymał konia, ratując tem życie Forowskiemu. Zato został zaproszony na zamek i od owej chwili bywał tam często, spędzając wiele chwil sam na sam z Mirą. Zaofiarował jej swą przyjaźń bezgraniczną. Przyznał się do winy. Błagał o przebaczenie i uzyskał je. Tymczasem urodził jej się syn. Mąż porwał dziecko matce i zabronił nawet mówić o niem. Wobec tego Mira zawezwała Wandycza, prosząc go, by zechciał dopomóc jej w odnalezieniu syna.

Tymczasem, hr. Forowski powziął podejrzenie, że hr. Wandycz jest sprawcą ohydnego gwałtu. Hr. Wandycz przyznał się. Odbył się między nimi amerykański pojedynek. Hr. Forowski został przy życiu, a hr. Wandycz wypił truciznę i zniknął bez śladu. Hrabina Mira zapadła na zapalenie mózgu i dopiero po wielu miesiącach wyzdrowiała.

Natychmiast potem rozpoczęła poszukiwania swego dziecka. Mąż przyznał się, że podrzucił je pod murami kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie. Okazało się, że zaopiekował się niem zakrystjan tego kościoła Lerex, ale oddał potem komuś, kto się podał za ojca dziecka. Hrabina Mira wróciła do domu.

Poszukiwała jeszcze syna ale bezskutecznie. Odebrał go zaś faktyczny ojciec — hr. Wandycz, który, jak się okazało, nie zginął od trucizny — wywiózł syna zagranicę, a przywiózł [illegible] w roku 1920 gdy [illegible] Warszawy docierała nawałnica sowiecka. Obaj postanowili wstąpić ochotniczo do wojska. Teraz dopiero syn Wandycza — Henryk — zapytał ojca o swe pochodzenie. Ojciec odrzekł mu tylko, że jest dzieckiem zbrodni, resztę zaś uparcie zatajał. Henryk był tem bardzo zgnębiony, nie mając odwagi pytać o szczegóły.

Hrabiostwo Forowscy zamieszkali w Warszawie, gdzie po dwóch latach urodził im się syn Stanisław. Hrabina Mira została siostrą miłosierdzia w lazarecie, do którego przywieziono ciężko rannego na froncie Henryka. Zaopiekowała się nim ze szczególną troskliwością i w dużej mierze przyczyniła się do uratowania mu życia, nie wiedząc, że szeregowiec-ochotnik Henryk Gerowicz to jej syn.

I nie dowiedziała się, bo po skończonej wojnie Gerowicze znów wyjechali z kraju, udając się do Ameryki. Na okręcie Henryk zakochał się w pięknej Milusi, córce nauczyciela gimnazjalnego z Warszawy, który padł podczas obrony stolicy. Chciał się jej oświadczyć, ale postanowił przedtem wyjaśnić wreszcie swoje pochodzenie.

Ponieważ ojciec nie udzielił mu tych wyjaśnień, oświadczył Mili, że z bólem serca musi się z nią rozstać. Tymczasem w Ameryce matka Mili umarła. Mila była bez pracy i została kochanką pewnego Polaka amerykańskiego, który ją przywiózł do Polski i tu porzucił. W tym samym czasie Henryk także przyjechał do Warszawy i ujrzał Milę w loży teatru Narodowego. Pobiegł do niej do loży. Przyznała mu się, że jest na utrzymaniu u pewnego bogatego pana, który wnet tu przyjdzie.

Tym panem okazał się Stanisław hr. Forowski, syn hrabiny Miry. Doszło do spotkania między Henrykiem a Stanisławem, który spoliczkował Henryka. Ten wyzwał go na pojedynek. Henryk przekonał się po wymianie biletów wizytowych, kto to jest. Przyznał się ojcu. Ten postanowił do pojedynku nie dopuścić. Henryk domyślił się, że jego ojca musiało coś łączyć z Mirą.

Ojciec ukrył to wszakże przed Henrykiem. Aby nie dopuścić do pojedynku, powiedział całą prawdę Mirze, a następnie jej synowi, którego poprosił, aby wszystko powtórzył Henrykowi, bo jemu samemu wstyd byłoby. Tak się też stało.

Hr. Wandycz i jego syn Henryk wyjechali z Warszawy. Hrabia Stanisław zaś postanowił ożenić się z Milą. Oświadczył jej się. Powiedziała, że go nie kocha, ale może wyjść za niego. Stanisław chciał jeszcze uzyskać pozwolenie ojca.

Nie otrzymał go. Przeciwnie, ojciec zagroził mu, że cofnie dopływ pieniędzy. Nie zraziło to Stanisława. Znalazł pracę, Mila też i postanowili się pobrać. Odbył się wreszcie cichy ślub Mili ze St. hr. Forowskim. Od owego dnia oboje zamieszkali w ich nowem skromnem mieszkaniu na kolonji Staszyca.

Hrabina Forowska odwiedziła młode małżeństwo w ich nowem mieszkaniu.

Gdy hrabina Forowska wróciła do męża, nie mogła się oprzeć pokusie i rzekła mu:

— Nie wiem, doprawdy, jak nato zareagujesz, ale nie umiem i nie chcę tego dłużej przed tobą ukrywać. Tajemnica ta ciążyłaby mi zbyt dotkliwie.

— Cóż to znów takiego? — zapytał hrabia Forowski, niemało przerażony.

— Byłam u Stasia...

— W jego domu?

— Tak...

— Wiedziałem, że nie wytrzymasz. I cóż. Widziałaś jego żonę, oczywiście?...

— Widziałam i... mów, co chcesz... jestem nią oczarowana!

— Mósi z niej być czarodziejka nielada, skoro i ciebie odrazu wzięła pod swój urok.

— Gdybyś ty ją zobaczył, także nie oparłbyś się jej...

— O, niema obawy! Ja jestem zahartowany.— Po chwili zaś dodał: — Widzisz, na tem właśnie polega różnica między nami. Ty także pochodzisz z ludu, więc ci to nic nie stanowi, że nasza synowa.. muszę ją tak. niestety, nazwać... pochodzi z innej sfery. Mnie zaś to nietylko razi, ale nawet... boli. To też ja się z tem nie pogodzę i choćby była najpiękniejsza, nie poddam się jej urokowi.

— A jednak kiedyś... poddałeś się kobiecie, także niepochodzącej z twojej sfery...

— Masz zapewne, na myśli, siebie.

— Właśnie...

— Byłem młody i lekkomyślny i tem bardziej chcę ustrzec mojego syna przed podobnym błędem...

— Ach, więc... pożałowałeś swojego kroku?

— A czy mało wycierpieliśmy oboje?

— Ale chyba nie z mojej winy? Jeżeli Wandycz już chciał coś podobnego popełnić, nie zawahałby się również, gdyby to był kto inny.

— Niewiadomo. Może skorzystał z tego, iż wiedział... z kim ma do czynienia. O tobie krążyły rozmaite pogłoski, o, wiem dobrze, że z pewnością jak najbardziej nieusprawiedliwione, ale trudno... To mu wystarczyło. Gdyby wiedział, że jesteś z jego sfery, nie odważyłby się na coś podobnego.

— To wcale was... arystokrację... w mych oczach nie podnosi. Uważacie, że możecie z dziewczyną, może najuczciwszą, ale niższego rzekomo pochodzenia, postępować po... chamsku...

— Moja droga... Zostawmy lepiej tę rozmowę! Nie dotykajmy ran! Będzie to lepiej dla nas obojga...

— Dobrze, mogę zaniechać dalszej rozmowy o nas, ale nie wymagaj ode mnie, abym się pogodziła z twojem traktowaniem naszego dziecka. Ja nie chcę i nie zamierzam wojować z moim synem... ani się z nim rozstawać... Skoro utraciłam jednego, niechże choć ten mi pozostanie! — zawołała ze łzami w oczach.

Hrabia Forowski zmiękł. Wyczuwał, że słuszność jest właściwie po stronie jego żony. Nie chciał też budzić w niej wspomnień o... tamtym synu... który z jego winy przecież zaginął... Rzekł więc po chwili:

— Ha, gdybym jeszcze miał pewność, że Staś będzie szczęśliwy ze swoją żoną!

— Czyż to można wiedzieć zgóry? Nam się też wydawało, że będziemy ze sobą bardzo szczęśliwi, a wiesz, co potem było...

— Gdybym wiedział przynajmniej, że są podstawy do tego, aby mógł być szczęśliwy! Może ta kobieta spekulowała jedynie na jego tytule...

— Co po tytule, gdy pusto w szkatule? Nie! Skoro wyszła za niego, wiedząc, że nie będzie miał pomocy z domu, więc musiała go kochać doprawdy.

— Może liczy nato, że prędzej, czy później, pogodzimy się z losem. To musi być spryciara...

— Tego nie wiem, ale jeżeli o mnie chodzi, to zgadła. Jestem zdecydowana uznać ją za naszą synowę... oczywiście... jeżeli i ty także zechcesz.

Ta lojalność żony wobec niego ujęła hrabiego Forowskiego. Rzekł po namyśle:

— Umówmy się więc w taki sposób. Jeżeli rzeczywiście się okaże, że żona Stasia jest pełna szczególnych zalet, jakie jej przypisujesz, wtedy gotów będę uznać ją za synowę. Ale to musi potrwać... rok conajmniej. Rok próby. Jeżeli chcesz przez ten czas widywać się z nimi, proszę cię bardzo, nie krępuj się, ale nie u mnie i nie publicznie. Możesz od czasu do czasu zaglądać do nich, jak to dziś uczyniłaś. Do tego czasu ja pozostanę przy swojem stanowisku. Nie będę się z tą panią widywał i za synowę jej oficjalnie nie uznam.

— A po roku?

— Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to... kto wie... może odstąpię od mojego nieprzejednanego stanowiska...

— Wolałabym, aby to nastąpiło wcześniej, ale trudno... Bo ja tak sobie to wyobrażałam, że gdybyś pogodził się odrazu ze Stasiem, mógłby zaprzestać tych najniepotrzebniejszych na świecie lekcyj językowych, mógłby zaś zająć się ukończeniem uniwersytetu. A tak straci rok...

— Stracił już niejeden. Jeden rok mniej, czy więcej, już nie stanowi. Będzie to, jak powiedziałem, rok próby. Potem... zobaczymy... Sam jestem bardzo ciekawy, czy ta osóbka wytrzyma rok... Bo rok to bardzo mało, ale i... bardzo dużo. Bóg wie, co się jeszcze może stać przez ten rok... Możesz to, zresztą, Stasiowi powiedzieć i tej jego żoneczce. Ja... mam czas... ja... poczekam...

Dalszy ciąg jutro.

Feljeton radjowy

Jak stary Gliza został nawrócony

U Glizów w Kołaczycach ciągłe awantury, zgorszenie na całe miasteczko. Ona — poczciwa kobiecina, pracowita, skrzętna, matka 5-ciorga dzieci. On — ojciec, awanturnik, z zawodu ślusarz. Warsztat z dnia na dzień upadał, nikt nie dawał roboty.

— A co, pijanicę i awanturnika będę wspomagał? — mówił sobie ten i ów.

Smutne było życie tej rodziny. Mała Irenka, lat zaledwie czternaście licząca, ciągle chora, że lada dzień nieba trza było się spodziewać; Józek, 10-letni urwis, do szkoły przestał chodzić, bo nie było w czem i nie było za co książek kupić: Włodek i Staszek, elementarz już mieli, chłopaki wprawdzie rosłe, ale cóż z tego? — nikt do „terminu", czy na praktykę przyjąć nie chciał, bo wszędzie przeszkadzała opinja starego Glizy.

— Wezmę go do roboty? — a to ci się wda w ojca pijanicę i będzie mi robotę psuł.

— A mało to jest zdolnych chłopaków z porządnych domów — od Glizy będę brał? Tak mówiono w miasteczku.

Rodzina Glizów popadała w coraz większą nędzę i niedostatek.

Gdyby nie Julja, córka Glizów która jeszcze za dobrych czasów skończyła seminarjum, a będąc na posadzie na Kresach, przysyła co miesiąc parędziesiąt złotych, u Glizów nie byłoby co do ust włożyć. Ale i ta pomoc córki z biegiem czasu nic dla rodziny nie dawała, bo stary z krzykiem, pieniądze od matki odbierał i szedł do knajpy, zostawiając w domu głodne dzieci.

Nie pomogły perswazje, płacz dzieci, widok komornika, opinje w miasteczku, — stary Paweł Gliza nie mógł w domu wysiedzieć. Za ostatni bodaj grosz musiał iść na kieliszek..

Nadchodził Nowy Rok.

Julja, dobra córka nie zapomniała o ojcu. Wiedziała o stosunkach w domu, ale zawsze wierzyła, że ojciec ze złej drogi zawróci i w jej rodzinnym domu znów powróci spokój, praca i szczęście rodzinne. Gliza znów będzie znanym i dobrym rzemieślnikiem.. myślała.

W przeddzień Nowego Roku z rana, gdy Paweł Gliza jeszcze był w domu, wszedł listonosz, niosąc dużą paczkę.

„W Nowy Rok — przesyłam tatusiowi, jako prezent, z życzeniami lepszej przyszłości" — brzmiała kartka, załączona do paczki, w której znajdował się piękny, 3-lampowy radjoodbiornik. Stary z niewielkim entuzjazmem przyjął prezent, raczej wolałby dobrą butelkę wódki, ale skoro taki prezent córka przysłała. to i to dobre.

Pomału zaciekawił go ten prezent, bo nieraz wystawał na ulicy przed głośnikami w mieście. Teraz sam ma swoje własne radjo. Założyli więc prędko antenę z chłopakami i sąsiadem, który na tem się znał i stary Gliza siadł przy głośniku.

Długo, długo słuchał muzyki, zmieniał stacje, — a co najważniejsze, że już tego dnia z domu nie wychodził. Pochłonął go świat cały...

Własne radjo mu się spodobało.

Rok Nowy spędził przy głośniku, zamiast go w knajpie „oblewać".

Zawsze już parę złotych pozostało, dzieciska dostały lepsze jedzenie.

U Glizów zaczęło się zmieniać, stary w wolnych chwilach nie rozstawał się z głośnikiem. Na mieście tu dzie już nie plotkowali o Glizach, bo w knajpach starego nikt nie widywał. Powoli w warsztacie Glizy zaczął się ruch, robota przybywała, bo majster z niego był dobry.

Powoli, powoli znów dobrobyt i szczęście rodzinne zaczęło wkraczać w dom Glizów. Matka zapomniała o smutnej przeszłości, Irenka poszła do szkoły, a przynosząc dobre świadectwa, była pociechą rodziców. Włodek i Staszek wyrośli na zdolnych zastępców ojca w ślusarstwie.

Znów u Glizów było dobrze...

Stary, jak przedtem z kieliszkiem, tak teraz nie rozstawał się z radjem.

W miasteczku znów otaczano go powszechnym szacunkiem.

A gdy po latach kilku, odwiedziła ich Julja na święta, gdy przy wspólnym siedzieli stole wraz z proszonymi gośćmi, — stary Gliza włączył głośnik radjowy, wyszukał oberka i uroczyście rzekł:

„Ten prezent mojej córki uratował mnie przed zgubą".

RADJO

9.00 Sygnał czasu. 9.15 Muzyka. 10.00 Nabożeństwo z Torunia. 11.57 Sygnał czasu. 12,00 Hejnał. 12,15 Poranek muzyczny. 14,20 Muzyka lekka. 16.00 „Łamigłówki". 16.15 „Marynarka gra". 16.45 „Polska śpiewa". 17.00 Muzyka taneczna. 17.40 „Wojciech przystaje do kolendników". 18.10 Koncert reklamowy. 18,45 Słuchowisko - „Mocna krew". 19,30 „Wesoła Fala". 20.00 „Dziwne nastroje". 20.10 „Straszny Dwór". 22,50 Wiadomości sportowe.

Grudzień
29
Niedziela
Tomasza

KRONIKA KRAKOWA

Nowy tunel na dworcu osobowym

Ostatnio oddany został do użytku pasażerów tunel, który wybudowany został na dworcu głównym w Krakowie. Nowy tunel łączy obecnie peron III z peronem II i IV oraz ułatwia dostanie się do wyjścia ze stacji. Ściany ukończonego w dniach ostatnich podziemnego przejścia wyłożone są kafelkami. W przyszłości nowy tunel łączyć będzie z obu wyżej wymienionemi peronami peron nowy, który jest w trakcie budowy, a z którego odchodzić będą pociągi do Warszawy przez Kielce i Radom.

Aresztowanie biskupa

„Reichpost" donosi, że biskup Geissler z Bressanone we Włoszech, od 15-go grudnia pozostaje pod strażą wojskową. Biskup miał odmówić wydania listu pasterskiego w sprawie zbiórki złotych przedmiotów na rzecz skarbu włoskiego.

Pismo podkreśla, że biskup Geissler jest znany ze swej surowości w stosowaniu przepisów kanonicznych i cieszy się miłością ludu. Jego aresztowanie wywołało ogólne rozgoryczenie.

Samobójstwo na cmentarzu

Na terenie cmentarza ewangelickiego w Warszawie, służba cmentarna znalazła wczoraj rano wiszące na drzewie zwłoki jakiejś starszej kobiety. Zawiadomiono policję i pogotowie. Wezwany lekarz stwierdził zgon.

Dochodzenie policyjne ustaliło, iż desperatką jest 40 letnia Leokadja Dekler. Zwłoki przewieziono do prosektorjum. Policja prowadzi dochodzenie, by ustalić przyczynę samobójstwa.

Straszna śmierć dwojga dzieci

Na skutek zarządzenia władz prokuratorskich wstrzymany został pogrzeb dwojga dzieci, które spłonęły w zakładzie wychowawczym w Bożyczynie pod Płudowem. Wypadek wydarzył się w przededniu świąt Bożego Narodzenia. Siostry zakonne zaprawiały maść do podłóg, gdy w tem do masy dostała się iskra i nastąpił wybuch. Dwu bawiących się obok chłopczyków w wieku lat 5 zostało objętych płomieniem. — Dzieci w stanie nieprzytomnym przywieziono do szpitala w kilkanaście godzin po wypadku.

Nastręcza również wiele wątpliwości fakt, że zarząd nie dopuścił do gaszenia pożaru wezwanej straży ogniowej. Te i inne okoliczności mogą mieć wielkie znaczenie przy ustaleniu odpowiedzialności za wypadek, która spada na sprawujące opiekę nad dziećmi siostry.

Starania o zwolnienie Gorgonowej

Wczoraj w Krakowie mec. dr Woźniakowski odbył konferencję ze specjalnie przybyłym z Warszawy dr Ettingerem, na której ustalono plan, który zastosują obrońcy Rity Gorgonowej dla wcześniejszego uwolnienia jej z więzienia.

Ponieważ uchwalona amnestja nie obejmuje Rity Gorgonowej obrońcy jej zwrócą się wprost do ministra sprawiedliwości z prośbą o jaknajrychlejsze zwolnienie swej klijentki. Nadmienić należy, że wbrew podawanym przez prasę pogłoskom Gorgonowa posiada zaświadczenie władz więziennych w Fordonie stwierdzające, że sprawowanie jej nie pozostawia nic do życzenia i że była ona jedną z najpracowitszych więźniarek.

Tajny proces w Krakowie

Przed trybunałem sądu okręgowego karnego w Krakowie w składzie s. o. dr Kurzer jako przewodniczący s. o. dr Stuhr i s. śl. Restorf jako wotanci odpowiadali młodzi parobczaki z Kłaja, a to Antoni Wojas, Edward Konieczny, Józef Szewczyk, Franciszek Malinowski, wszyscy oskarżeni o zniewolenie w dniu 13 października 1934 w Stanisławowicach Genowefy Krawiec.

Po przeprowadzonej rozprawie i wywodach prok. dr Szypuły oraz obrońcy oskarżonych dr Kosturka, sąd wydał wyrok uwalniający wszystkich od winy i kary.

Proces odbywał się przy drzwiach zamkniętych.

Otruła męża by połączyć się z kochankiem

Przed sądem Apelacyjnym w Krakowie odbyła się sensacyjna rozprawa o zbrodnię skrotobójczego morderstwa, popełnionego przez wsypanie do potraw śmiertelnej dawki trucizny.

Tło i charakter tej sprawy są wprost niesamowite.

Mieszkanka wsi Bryzdzyn k. Miechowa, 33-letnia Marjanna Gacek, mająca męża o 20 lat od siebie starszego, a zato kochanka młodego i pięknego Nawrota, zapragnęła drogą zbrodni — przez podstępne zgładzenie męża, połączyć się z kochankiem.

W marcu 1934 r. uzyskała Gackowa od męża zapis kilku morgów gruntu, poczem kupiła arszenik i wsypała go kilkakrotnie do podanych mężowi potraw.

Franciszek Gacek zmarł zaraz straszliwą śmiercią z otrucia, a Gackowa przeniosła się do swego kochanka Nawrota ofiarowując mu ‚wiano' w kwocie 4.000 zł. uzyskanych za wyłudzony od męża grunt.

Lecz idilla z kochankiem wkrótce się skończyła, albowiem rodzina ofiary mordu, oraz wójt gminy zawiadomili władze o silnych poszlakach ciążących na wiarołomnej żonie.

Poszlaki te, łącznie z przeprowadzoną następnie sekcją zwłok i badaniem chemicznem zawartości jelit zmarłego Gacka zaprowadziły Gackową przed kratki Trybunału Sądu Okręgowego w Kielcach, który po przeprowadzonej rozprawie uznał ją winną zbrodni skrytobójczego mordu i zasądził na karę dożywotniego więzienia.

Gackowa nie przyznając się od początku do straszliwego czynu, apelowała, na skutek czego sprawę tę rozpatrzył ponownie krakowski Trybunał Sądu Apelacyjnego, któremu przewodniczył sędzia dr Podobiński.

Po przeprowadzonej rozprawie i wywodach prokuratora oraz obrońcy Gackowej mec. dr Millana Markowicza sąd wydał wyrok uwalniający Gackową od winy i kary.

Po rozprawie na skutek telefonicznego zawiadomienia prokuratora, Gackowa natychmiast została zwolnioną z więzienia.

Dalsze szczegóły chrztu kupca żyd. w Krakowie

Nasza notatka w jednym z poprzednich numerów o kupcu żydowskim Izraelowiczu, zam. przy ul. Kołłątaja 9, wywołała duże zainteresowanie.

Swiadczy o tem aż nadto liczny napływ informatorów do naszej redakcji.

Otóż Izraelowicz będąc jeszcze kawalerem powiesił się na strychu w Proszowicach, a od niechybnej śmierci wyratował go jego brat Szmul, zam. przy ul. Sołtyka 11, odcinając go od sznura.

Przez 6 miesięcy pozostawał Izraelowicz w leczeniu w sanatorjum dla umysłowo-chorych dr Sikorskiej w Krakowie.

Całe życie Izraelowicza to wieczna pogoń za kobietami. Prócz 4 żon — Izraelowicz był kilkanaście razy zaręczony.

Jednemu z naszych Informatorów Izraelowicz oświadczył: „Ożeniłem się z Węglarzówną, gdyż nie miałem innego wyjścia. Pozatem ma ona pół domu w Niepołomicach. Pół domu tego warta 20 tysięcy złotych Mam dostać posadę, którą mi obiecała moja matka chrzestna w kościele O. O. Jezuitów, a jest to żona jednego wybitnego człowieka".

Na dzień przed przyjęciem chrztu św. Izraelowicz oświadczył: „teraz przyjmę chrzest, a później się zastrzelę".

Aresztowanie mordercy z Mostowej

Wczoraj w godzinach rannych aresztowano w Prokocimiu mordercę Józefa Romana — a to Władysława Galasa.

Przy Galasie znaleziono rewolwer, z którego strzelił w restauracji przy ul. Mostowej.

Galasa, którego aresztowanie nastąpiło w mieszkaniu przyjaciółki, osadzono w więzieniu św. Michała.

Dalsze śledztwo prowadzi sędzia śledczy dr Rogowski.

Mąż odgryzł żonie nos

Głośną była sprawa Jana Radzikowskiego, urzędnika fabryki „Sygnałów", zam. w Borku Fałęckim 93, który w dniu 9 sierpnia b. r., podczas całowania odgryzł swej żonie Krystynie, urzędniczce fabryki Kabli nos. Rozszalały Radzikowski nie poprzestał na tem, ale wyjąwszy uprzednio przygotowaną brzytwę uciął w wilącej się w bólach żonie dalszą część nosa.

Za czyn ten prokuratura postawiła go przed sądem okręgowym karnym w Krakowie.

Po przeprowadzonej rozprawie sąd skazał osk. Radzikowskiego na 2 lata więzienia z zawieszeniem na 4 lata.

Oskarżonego bronił dr Haber.

Z Teatru im. J. Słowackiego

pop. „Rozbitki"
wiecz. „Trzy asy i jedna dama".

KINA

Adria „Rapsodja Bałtyku"
Apollo „Nie odchodź ode mnie"
Atlantic: „Manewry miłosne" i „4 kolorowe bajki"
Bagatela „Tu rządzi humor" i operetka „Miłostki wiedeńskie"
Promień „Piotruś"
Stella „Dwie Joasie"
Świt „Kochaj tylko mnie"
Sztuka: „Nasze słoneczko"
Uciecha „Księżniczka Czardasza"
Wanda: „Chińskie morza"
Muzeum: „Melodje cygańskie"

Odpowiedzi redakcji

Czytelniczka J. S. która przysłała nam artykuł o erotycznych praktykach majstra w krak. fabryce, jest proszona o natychmiastowe zgłoszenie się w naszej redakcji celem złożenia pewnych wyjaśnień w tej sprawie, gdyż w sprawie tego majstra otrzymaliśmy już szereg doniesień.

Upił kochankę i dopuścił się na niej niedozwolonego zabiegu.

Marjan Pączkiewicz, zam. w Warszawie, przez 3 lata utrzymywał bliższe stosunki z Marją S., lat 33. Przed kilkoma miesiącami S. zaszła w ciążę. Gdy już była w 4-ym miesiącu Pączkiewicz zaczął namawiać swoją przyjaciółkę do spędzenia płodu. — S. odrzuciła propozycję Pączkiewicza. Wówczas Pączkiewicz zaprosił S. do siebie na kawalerską bibkę i uraczył ją obficie alkoholem. Gdy straciła przytomność wskutek nadmiernego użycia alkoholu, Pączkiewicz dał jej do wypicia jakiś ostry środek, w wyniku którego po kilku dniach nastąpiło poronienie.

S. w stanie groźnym przewieziono do szpitala. Gdy niebezpieczeństwo minęło i S. opuściła szpital, złożyła o całem zajściu zameldowanie władzom śledczym.

Krakowski elektromonter lżył P. Prezydenta Rzplitej.

Przed sędzią dr Kronenbergiem w sądzie okręgowym karnym w Krakowie zasiadł wczoraj na ławie oskarżonych 44-letni elektromonter Stanisław Kurdziel, zamieszkały w Krakowie przy ul. Kopernika 25, który znieważył p. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Było to w dniu 12 lutego 1935 na ul. Grzegórzeckiej.

Rozprawa trwa.

Oskarżał prok. dr. Jarosiński.

Krak. „tata-tasiemka" postrachem węglarzy

Na ławie oskarżonych zasiadł wczoraj przed sądem okręgowym karnym w Krakowie 39-letni robotnik Piotr Siwek, zamieszkały w Białym Prądniku.

W dniu 19 czerwca 1934 r., Siwek, notowany jako znany awanturnik, chodził po placu targowym w Krakowie, gdzie przy użyciu siły zabierał węglarzom z wozów węgle.

Rozprawa trwa.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Kraków, ul. Gródek 2. — Telefon 173-02. — Redaktor przyjmuje od godz. 16—17-tej.
CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej 1 wiersz mm. 1 zł. — Drobne 30 groszy za wyraz. — Poszukiwania pracy 10 groszy za wyraz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Alfred Kwiatkowski. Drukarnia „Monopol" Kraków, Na Gródku 2. Tel. 173-02.